

I. 544.840/4.

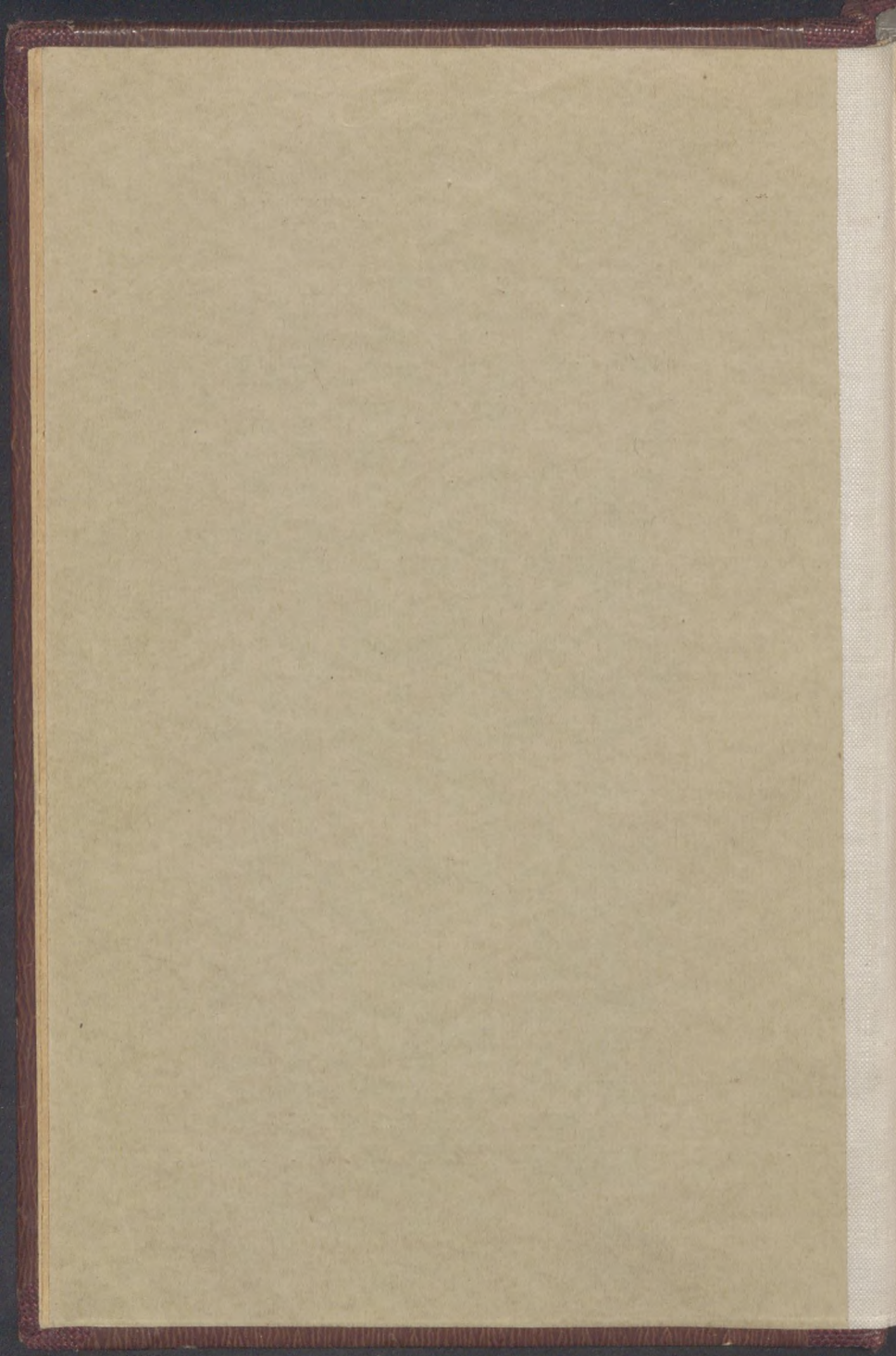
BRONISŁAWA OSTROWSKA
PISMA POETYCKIE TOM CZWARTY

2316

PIERŚCIENŃ ŻYCIA
*
TARTAK SŁONECZNY
*
WIERSZY OSTATNIE



WARSZAWA MCMXXXIII KRAKÓW
WYDAWNICTWO J. MORTKOWICZA
T-WO WYDAWNICZE W WARSZAWIE



3000

28/12 33

BRONISŁAWA OSTROWSKA

PISMA POETYCKIE

TOM CZWARTY

I. 544.870 / 4



Biblioteka Narodowa
Warszawa



30001008721080

WARSZAWA MCMXXXIII KRAKÓW

BRONISŁAWA OSTROWSKA

PIERŚCIEŃ ŻYCIA

*

TARTAK SŁONECZNY

*

WIERSZE OSTATNIE



WYDAWNICTWO J. MORTKOWICZA

Wydanie pośmiertne z zasilku Funduszu Kultury
Narodowej.

Odbito egzemplarzy numerowanych

1 — 10 na ręcznie czerpanym papierze mirkowskim

11 — 1010 na mirkowskim papierze bezdrzewnym

Nr. 352

Przygotował do druku i opatrzył przypisami
LEON PIWIŃSKI

Drukarnia Naukowa T-wa Wydawniczego w Warszawie
Rynek Starego Miasta Nr. 11



SCULPTURE OF THE HEAD OF A WOMAN
FROM THE TEMPLE OF APOLLO AT DELPHI

PODOBIZNA AUTORKI WEDLE RELJEFU
STANISŁAWA K. OSTROWSKIEGO

PIERŚCIEŃ ŻYCIA

(1918)

Żywie Pan, i żywie dusza moja!

Pismo Św.

PIERŚCIEN ŻYCIA
(1918)

WYDAWCA: KSIĘGARNIA WIELKA W WARSZAWIE
UL. MICKIEWICZA 2. INŻYNIER WITKOWSKI

Wydanie I. 1918 r.

Wychodzi w polu z ziemi
Kwiaty, kwiaty
Kwiaty białe, jasne
Długo rosną
Wieloletni zieleń
Srebrni kwiaty, srebrni
Kwiaty.

I

Wieloletni kwiaty
Kwiaty
Kwiaty białe, jasne
Kwiaty
Kwiaty
Wieloletni kwiaty
Kwiaty
Kwiaty białe, jasne
Kwiaty
Kwiaty
Kwiaty białe, jasne
Kwiaty
Kwiaty białe, jasne
Kwiaty
Kwiaty białe, jasne
Kwiaty

Zygodon Pans. 1 Zygodon Annon. 1000
Piano. 500

Wychodzę w pole z psem.
Ranek. Przedwiośnie.
Przestwórz błękitnej pogody
Dyszy radośnie
Wietrzanym tchem.
Świat taki młody, młody!
Rośnie.

Pośród błękitnych roztopów —
Zdaleka —

Szalona biegiem szuka
Szczeka,
Szuka...

Ni ptaka ni zająca:

W powietrzu szuka tropów
Słońca, —

W wiosennej wody potokach

Chlupoce bezrozumnie,

Aż wreszcie w śmiesznych skokach

Powraca ku mnie

I kładzie się na ręce

Kudłatym łbem,
A oczy ufne, dziecięce,
Czarne,
W niemej podzięce
Zwraca ku mnie: dwa wierne płomyki ofiarne.

Gładzę jej korny pysk:
Moja! moja!
I czytam ócz jej błysk,
Jakoby snem,
I patrzę w nią i w siebie,—w głęb wiecznego zdroja,—
I — wiem.

Czuję, jak dusza ziemi—zdaleka,—zdaleka,—
Rośnie
Od wieków wieka
Do mnie,—do duszy mojej,—do człowieka.

Przedwiośnie:
Wejrzały ku mnie z łąk
Roztopów modre oczy,
Zapachniał wierzbny pąk,
Rozmarzył obłok biały,
Co kędyś z wiatrem mknie,
Ptaki mię ośpiewały, —
Żywot, co polem kroczy,
Zagarnął mnie.

Słyszę, jak pierwsze kwiaty,
Niby drobne serduszka dziecięce,
Dzwonią, dzwonią nad wodne kobierce.

Zbieram ich pełne ręce!
Zbieram ich pełne serce!
Chłonę ich aromaty
Miodne, rośne i ziemne:
Siostrzyczki moje młodsze,
Cichsze, słodsze,
Tajemne.

Gdziekolwiek rzucę
Wzrok,
Gdziekolwiek zwrócę
Krok,
Tam wszędzie błyska mi
I lśni
Tysiącem farb
— Pierścień życia. —

Z tajemnych snów ukrycia
Dobyty skarb,
Skarb jeden, wiecznie młody,
Krynica żywej wody,
Z której spragniona piję.

Jak miód łaskawej wieści,
Zbierałam sama oto
Ten kryształ i to złoto
Najdoskonalszej treści, —
By dzisiaj w sercu mojem
Bolesnych złud spowicia
Opasał żywym zdrojem
— Pierścień życia.

Na jego to promienie
Te pola, i te łąki,
I wierne psa spojrzenie,
I dzwonki, i skowronki, —
Zbudzona dusza ma
Pomiędzy nieb posową
A łonem czarnej ziemi
Tęczami anielskimi
W drabinę Jakóbową
Tka....

Magdalena, ciosa polna,
Magdalena, ciosa letna,

Ktoś nieważ mi pod nogi
Młotem balzam dogi
I dołozak włosy święci,
Jony, pyłak koczem szpil,

II

Z wżeczładek — herbolana,
Z wżeczniwoli — zozto wżina,

Łachki zohic, — ciosa letna...
Łachki zohic, — ciosa polna...

Jak miedź i szkawa wina,
Zobrazak wasz oto
Ten kryształ i to dnie
Majstrowska i walec,
By dacia w starym miedzi
Bolenych i w spoczynku
Opami wyzysk i walec
— Pierzgiel cyta.

Na jego to promieniu
Te polki i te lakti,
I wiazne pa spoczynku,
I dewoutki, i kowronki,
Znadziona diera pa
Pomiedzy nich, puzera
A lina czarnej klatki
Tarczami anielkami
W slabinie Jakobowa
— Tak...

Magdaleno, ciszo polna,
Magdaleno, ciszo leśna,

Która zlewasz mi pod nogi
Miłosierny balsam drogi
I ocierasz włosy swemi
Stopy, pylne kurzem ziemi, —

Z wszechboleści—bezboleśna,
Z wszechniewoli—siostrzo wolna,

Dzięki tobie,—ciszo leśna....
Dzięki tobie,—ciszo polna....

W wiosenne alleluje
Na ornej klękam ziemi
I skiby brózd całuję
Ustami dziękczynnemi.

Spłynęły łez mych zdroje
Roztopów modrą wodą,
Przelśniły się sny moje
Zielenią liści młoda.

Ból, który serce porze,
Wtopił się kędyś w dali
W ten pług co skiby orze
Lemieszem sonej stali;

A krzywd serdeczne grotty,
Rzucone mojej męce,
W ten osyp ziarna złoty,
Przez twarde siany ręce.

Świerszczyki polne trzęsą mak
W suchych makówkach ciszy...
(A cóż ci to? A cóż ci brak?)
Schyl w słońcu skroń pod kwietny krzak, —
Cisza twe serce słyszy.

W rytm twego serca (Żle-ż ci tak?)
Spalona ziemia dyszy,
I skwarem drga szafirów szlak,
I pieśń świerszczowa trzęsie mak
W suchych makówkach ciszy...



Taneczny gaj brzozowy
W złocistych słońca plamach...
Na gronostaju blamach
Nimf sennych wid różowy...

Łabędź samotnej łodzi
Na wielkiej, cichej rzece
Szlak skier za sobą miece,
Przepada w zórz powodzi...

Nad złotym rankiem ziemi
Rodzi się baśń skrzydlata:
Dziecięca Psyche wzlata
Skrzydłami motylemi.

By póty w szlak promieni
Iść z barw złudnego sidła,
Aż swe tęczowe skrzydła
W świetlaną biel spromieni.

Skosztuj tych czarnych ożyn: pachną zбочem leśnem,
I świerszczem, który strzyże w suszy traw i ziela,
I na porębach tchnieniem żywicy boleśnem,
I suchym trzaskiem, którym szyszka w słońcu strzela.

A razem jest jak smętku ofiarnego wino
Czarna krew ożyn: drzemie w niej mrok księżycowy,
Gdzie w przykłych gałęziach tajemną godziną
Dyjonizos słowiański śni cierń Chrystusowy.

Ktoś cicho płacze nad lasem:
Na jasnym niebie deszcz pada...
Nad blasku srebrzystym pasem
Mknie chmur skrzydlatych gromada.

Deszcz pada lekko, perliście,
W srebrnych, słonecznych rozświetlach,
Drżą perły na choin mietlach,
Perłami płaczą brzoź liście.

Srebrzystą niebios chrzcielnicę
Tęcza widzialnie obrzeża
I kładnie pieczęć przymierza
Na świętą wód tajemnicę.

Wilgotny smętek wieczoru
Płynie po leśnych moczarach
W śnie...
Zachód prześwieca skroś boru,
Smugami złoćąc w oparach
Pnie.

Mgła coraz bielszą się stawa,
Srebrzyste giezła swe kłębi,
Tka...
Zwolna zatracą się jawa,
I wstaje dziwny świat głębi
Z dna:

Kwitną uśmiechy przedwieczne,
Leśną się plonią jagodą
Łzy,
A złote smugi słoneczne
Na wyraj świetlisty wiodą
Z mgły.

Czyś kiedy szedł
Polami — het —
 W dalekiej zorzy próg,
Gdy smętny kłos
Żalobnych pros
 Uklęka ci u nóg?

Gdy śniegi gryk,
I zorze wyk,
 I pełne nieba lny —
Chyłą się wdół,
Ciężkie od pszczoł,
 Swe słodkie śląc ci tchy?

Gdy złoto grzyw
Pszenicznych niw
 Przeływa z sykiem fal,
Jak twoje sny,
Jak ty, jak my, —
 W nieistniejącą dal?

Czyś wtedy czuł
W kadzidłach ziół,
 W podzwonnem zniw i kośb,
Że świata duch
Ku tobie buchł
 W hymn dzięków, skarg i prośb?

Maryi Zielnej zbożna kaplica
Ścieżaj otwarta na błękit pól.

Jakież się tutaj modlą anioły,
Schylając czoła, jak złoty kłos?

Siostry jaskółki, i siostry pszczoły,
I brat mój w pieśni, — świerszczyk wesoly,
W ciszy słonecznej śpiewają wgłos...

Przed uśmiechnięte Maryi lica
Przychodzi łaska rozweselnica
I składa snopem wyżyty ból.

Mądrości złotych niw,
Świętości gryk i lnów,
Powracam do was znów, —
Duch żywym cudem żyw.

Oddawna już mój śpiew
Przepomniał jasność zbóż:
Ślepił mię drożny kurz,
Me lzy i cudza krew.

Z dalekich wracam dróg, —
Z krwi w błękit, z ognia w blask, —
Na żniwo wspólnych łask:
W nas społem dojrzał Bóg.

Miłość jest miłością
Światłość jest światłością
Powracam do was znów
Duch wywołuję
Odbawiam was
Przepracowałem
Sławię was
W imię
W imię
W imię

Podaję podziw. O, jak łagodny wiatr!

Przysłuchaj się, jak szumi w lasie
W gęstym szumie liści i kwiatów,
Aż wybuchną w gęstym szumie.

Podaję podziw. O, jak piękny wiatr!

III

Dziwnie chłodny i gęsty,
Chociaż słychać szum liści i kwiatów,
W pach wielki dokoła szumie.

Podaję podziw. O, jak wspaniały wiatr!

Złocisty i ciepły,
Wzrusza w szumie liści i kwiatów,
Hustając dokoła szumie.

III

Pociąg pędzi... O, jak tańczą sosny!

Prą się od ziemi nisko
W pnia spiralne kolisko,
Aż wybuchną w gałęzi ognisko.

Pociąg pędzi... O, jak płoną sosny!

Daremnie chłodne igły,
Chcąc ukryć płomień ścigły,
W puch zielony dokoła zastygły.

Pociąg pędzi... O, jak świecą sosny!

Zbroczonemi ramiony
Wzniosły w zorzy czerwonej
Hostję słońca nad krzyż leśny, zgarbiony...

Jeden wielki opal nieboskłonu...
W zórz głębinie coś jak płacz litosny...
Srebrny księżyc nad czarnemi sosny...
Pieśń daleka dożynnego plonu...

Konie idą, konie idą szparko, —
Pola płyną, — pies za bryczką bieży, —
Na policzkach czuję podmuch świeży...
Ziemio moja, szczodra łask szafarko!

Białe ściany w starych drzew podcieniu, —
Lip aleja, — staw z żabiemi chóry...
Pierwsza gwiazda, — tak znana wspomnieniu, —
Skryta niegdyś przez burze i chmury...

Serce bije, — ogniwo łańcucha,
Co mię spaja z drabiną stworzenia...
Nie kajdany, skuwające ducha,
Ale spójnia ślubnego pierścienia...

Świat w złotym słońca skwarze,
Wkrąg ganku róże kwitną...
Obrusa biel błękitną
Obsiadły drogie twarze.

Radosne mówią głosy...
Pies lasi się do pana...
Maliny pachną z dzbana...
Nad stołem krążą osy...

Z oddali pól niebieskiej
Pieśń żeńców ucho chwyta:
Powraca niespożyta
Baśń Polski czarnoleskiej.

O, słodkie piękno stare,
Jak ciężko cię pogrzebać!
Jak lubi duch kolebać
Przeżytych form ofiarę!

Baldachim z winogradów,
Wychowanica — sarna,
W strzesze jaskółka czarna,
W powietrzu brzęk owadów.

Zdaleka pługi orzą;
W świętości kroczą woly.
Modlą się drzew anioły,
Wieść Bożą śniąc pod zorzą.

Wieść, której nie stlą boje,
Ni krwi i ognia strugi,
Którą wie lan, i pługi,
I blask, i serce moje...

O, jakoweż posłowie,
Jakoważ Bożą sprawę,
Jakież wieści laskawe
Niesiecie mi, ptaszkanie?

Żywe perły, rozsnute
U nóg moich na piasku,
Kłonicie łebki w blasku,
Wciąż jedną dzwoniąc nutę.

Słyszę w nich całą wiosnę:
Pozdrowienie przyjemne,
Przypomnienie tajemne,
Rozgrzeszenie radosne...

Różowe smugi zachodu,
Miękkie omglenia dąbrowy,
Wilgotne wonie z ogrodu
I żuków lot organowy.

Tarcza złotego księżycy
Z za bladych wierzb się wychyla,
Woda się światłem przesyca,
Cisza się mgłami rozpyła...

Miesięczne w rzece odbicie
Ruchomym złoci się pasem...
W dal cicho odchodzi życie
I szemrze płynącym czasem.

Dostojna jesień kończy swój dzień
W snopach, i gronach, i kłosach.
Na pola schodzi błękitny cień,
Dzwony śpiewają w niebiosach.

Dostojna jesień kończy swój dzień:
Dosyc już trudów i plonów, —
Złóż ręce pełne tęsknot i chceń,
Posłuchaj modlitwy dzwonów.

Dostojna jesień kończy swój dzień.
Zważone-ć skarby polowu!
Bez żalu dzień twój w noc gwiezdną zmień:
Powrócisz, — powrócisz znowu. —

Co wy wiecie, co wy wiecie, drzewa,
O jesieni w krew i złoto strojne,
Że stoicie w czas zgonu spokojne,
A liść złoty wasz o słońcu śpiewa,
W mrok się sypiąc, jak złota ulewa?..

Co my wiemy, my, nadziei gońce?
W jakiej wiedzy złotej stoim chwale?
— Mroku niema, śmierci niema wcale!
Na ciemności zimowej bezkońce
W siebie wzięlim, w sobie mamy słońce.

Śnieg pierwszy czysty, czysty,
Puszysty, lśniący śnieg
Aż po najdalszy brzeg
Przed moje oczy legł, —
Śnieg czysty, śnieg puszysty,
Śmiertelny lek.

Nie biegą po nim ślady,
Znużonych ludzkich stóp:
Skrzył życia bunt i grób,
Wysiłki wszystkich prób, —
Siew blady dobrej rady,
Ostatni ślub.

Na nieskalanym lanie,
Gdzie światło lśni jak lza,
Uklęka dusza ma,
I cichem szczęściem lka,
I ślubi ślubowanie, —
Że ja — nie — ja — —

Dzięki Tobie, żeś ukazał mi życie,
Jak sad szczęsny, obdarzony obficie:

Błękit ranka skroś kwitnących jabłoni,
Złoty zachód, kiedy owoc się ploni,

I godzinę cichej pełni księżyca,
Kiedy w drzewach śni wszechwiedzy tajnica.

IV

Dziękuję Tobie, nie obrażaj mi życia,
Jak są: szeroko, obfite, obficie!

Biegnij szukać chwał kwitnących jabłoni,
Zielny zachód, kiedy cwiecą się pleni.

I godniej cieknie ręką białą, białą,
Kiedy w drzewach słońce wstaje i tańczy.

Nietylko ptak, nietylko kwiat,
Nietylko kamień to twój brat.
Nietylko wiatr i polny ścież,
Nietylko źródło i leśny zwierz, —
Pamiętaj o tem! Pamiętaj!

Nietylko duch, co dźwiga świat,
Nietylko siewca to twój brat.
Nietylko mędrzec, który wie,
Nietylko dziecko w pukli lnie, —
Pamiętaj o tem! Pamiętaj!

I niewolniczy żołnierz kat,
I zbój, i zdrajca to twój brat.
I ten, co waży krew i znój,
Jak szczerozłoty łańcuch swój, —
Pamiętaj o tem! Pamiętaj!

Ciche szczęście, najlepsze na ziemi,
Idzie w słońcu drogami polnemi,
I radosnym się śmieje uśmiechem
Nad człowieczem cierpieniem i grzechem.

Ciche szczęście, najlepsze na ziemi!
Czyś ty nie szło drogami błędniemi?
Tu są pola pod klątwą i gniewem,
Kul posiane śmiertelnym posiewem.

Ciche szczęście, najlepsze na ziemi!
O, pójdź w słońcu drogami krwawemi
I na oczy w krwi ślepej udręce
Kładnij kwietne, słoneczne twe ręce!

Na zburzonym w gruz rynku miasteczka,
Które zorał krwawy wojny pług,
Cicho wiedzie zarośnięta steczka
W cmentarny próg.

W groźnych pięściach sterczących kominów,
W oczodolach zrujnowanych ścian —
Próżną mękę kainowych czynów
Powiada Pan.

W pełni słońca cichy, zadumany,
Śpiącym grobom szepce stary krzyż
Że duch łamie form przejrzalnych ściany
I leci wzwyż.

O, skwitnijcie, czarne krzyże cmentarne!
O, skwitnijcie wiśniowemi sadami!
Czyż nie dosyć serca, legły pod wami,
Krwia serdeczną was poiły ofiarne?

O, skwitnijcie, czarne krzyże cmentarne!

O, skwitnijcie! o, wydajcie owoce!
Czyż nie dosyć lzy do stóp wam się laly
Na radości kraśny owoc dojrzały,
Co nasyci ciężkie głody sieroce?

O, skwitnijcie! o, wydajcie owoce!

Ten sam kwiatowy sen,
Co twej radości kwitł,
Po drogich grobach, hen,
Wśród zielnych buja kit.

Skąd śmiech, co-ć w sercu drwi,
I łza, co-ć mroczy świat?
Czemu, wyrosły z krwi,
Mniej pięknym ma być kwiat?

Dwie zadumane płaczące brzozy
Stoją na straży wsi,
Co, zamieniona w pustkowie grozy,
Jak cmentarz w słońcu śpi.

Świecą granatów puste nasiona,
Kolczasty pnie się drut:
Siejba śmiertelna, siejba szalona,
Nie wzrastająca w plód.

Włóżcie w pociski ziarno ofiary,
W promień przetopcie miecz, —
A tchnieniem w jutrznię pchniecie świat stary,
Co teraz gna was wstecz.

Stoi nad Polską w piorunowej chmurze
Bólu i sławy sarkofag kamienny,
Odwieczny Giewont-Piast.

Codnia opływa w zorzanej purpurze,
I w mroki czasów wzrok topi bezsenny,
I czyta runy gwiazd.

I nie wie lud mój, krwią płynąc i łzami,
I w targowiska brudne grzęznąc stopą,
Że nad nim dźwizga straż

Duch, w tarczę glazu bijący skrzydłami, —
Wysoka, wolna ponad Europą
Sumienia Polski twarz.

Zmartwychwstały w sobie nosi cud siły,
Wskreszonemu cud od Boga jest dan.
Emanuel zmartwychpowstał z mogiły,
Lazarza wskrzesił Pan.

Ponad tobą, w karzącym sądzie świata,
Pan wyciągnął swą wskrzeszającą dłoń:
Piorunami drogę tobie odmiata,
Ażebyś wzrosła doń.

Rośnij, Polsko! Trójmordercze twe wrogi
Ściera w prochu trójsieczny losów grom!
Rośnij, Polsko! Pan prostuje twe drogi,
Pan ci buduje dom.

Rośnij, Polsko! W każdym sercu i dłoni,
Żywą mocą, co wskrzeszona w nas trwa, —
Aż do nimbu zmartwychwstania u skroni
Rośnij, — Ojczyzno ma!

Cześć tym, co rwali kajdany łańcucha
Przez własną mękę i przez własny czyn,
Dla Polski jutra, dla ojczyzny z ducha,
Zbawionej z niewiar i obmytej z win.

Cześć tym, co w klęski śmiertelnej pomroce,
Ginąc z oczami żartem od ros,
Znicz rozniecali w beznadziejne noce,
Aby dziś Polski nie ślepil jej los.

By jej nie złamał ciężar łaski Boga,
Co trzy mocarstwa w prochu przed nią stał,
Aby jej płona nie zmroziła trwoga
Przed nadczłowieczą miarą łask i kar.

Dziś, gdy fanfary grzmia zwyciężkiem: «żyjesz!»
A choć drapieżna głuszy krzykiem: «masz!»
Czyjeż by, Polsko, dusz zwierciadło, — czyjeż,
Odbiło twoją zmartwychwstałą twarz?...

Duch Polski u skraju mogiły
W dostojnej uklęknął pokorze,
Ażeby mu czynu zwoliły
Wszzechmocne ręce Boże.

Nie w niebios on bowiem spowicie
Po glorii męczeńskiej wstępuje,
Lecz musi odnowa wejść w życie
Przez grobu alleluje.

Lecz musi krwią stanąć i ciałem
Na ziemi z lez ludzkich i z błota,
By życiem w was zmartwychpowstałem
Świadectwo dać żywota.

Czuwajmyż, czuwajmy gotowie,
My, z wieków na dzień nasz wybrani,
I baczmy!—Wszak niegdyś uczniowie
Zasnęli w Getsemani....

Swiaty, Przemyslawe, Twoje jest miasto dzielne
Wojennymi i charytatywnymi kramami
Tymi, których, o karmienie waszemu miastu
Ciebie, karmisz i karmisz waszemu miastu

Wzrost karmienia waszemu miastu
Za to, jakie karmienie i karmienie miasto
Ciebie jest waszemu miastu karmienia
Za to, jakie karmienie miasto, nie może karmienia

V

Duch Polski w straju szarym
W dostojnej szkieletu polnym,
Szary mu szary szary
Wzrostem jego szary.

Nie w szkieletu na ławie szarym
Po głodzie szarym szarym
Lecz musi odnowić szary
Przez gruby szary.

Lecz musi krwią szarym szarym
Na szkielet szary szary szary
By szkielet w wasz szary szary
Szkielet szary szary.

Carwicz, szary szary
My, z szkieletu szary szary
I szkielet szary szary
Szary szary szary.

Gwiazdy, broczące krwią nad męką ducha!
Sakramentalnych chmur świetliste łona!
Tchy wichrów, z których moc serdeczna bucha!
Omgleń kadzielnych modlitwo wzniesiona!

Waszą li sprawą serce moje wierzy,
Że bój, gdzie ludzkość los swój pęta sama,
Chce być ofiarą Bogu—Abrahama,—
A Bóg powstrzyma dłoń, nim miecz uderzy?

Nie wysiłek niszczenia, nie orkan zraty
Jest ze wszech najstraszliwszą pod słońcami mocą.
Nie siły, które formę gromami druzgocą
I w przepaście strącają skamieniałe światy;

Ale te, które legną w straszliwym zastoju
I radują się, w kłamstwa kajdanach okute, —
Te wstrząsa Bóg, zastygłe w bezdusznym spokoju,
I oddaje potopom zniszczeń — na pokutę.

Choćby zniszczyła ziemię fala krwi i stali,
I zalało wszechplony żywe ognia morze, —
Niech tylko jedno ziarno z klęski się ocali,
Już w jednym ziarnie żyje całe świata zboże.

Choćby ludów Kainy, gryzące się wzajem,
Zmieniły ziemię w pustki cmentarne bezdroże, —
Niech duch jeden zostanie z tęsknotą za rajem,
Już w onym jednym duchu jest Królestwo Boże.

Bracie mój, pochylony nad tryby maszyny,
Przygnieciony śmiertelnie złotym świata trupem!
Kiedyż ty wzrok podniesiesz nad czarne kominy,
Plujące w jasny błękit mrocznych dymów słupem?

Kiedyż ty, ponad walki powszedniej potrzebą,
Ujrzysz słoneczną światła żywego pożogę?
Oto ci już maszyna pokazała drogę,
Aeroplanu skrzydłem uleciawszy w niebo...

W świeżem drzewie ciosana, świeżą słomą strzeszna,
Jakoby ulepiona z lipcowego miodu,
Wstaje wśród złotych łąków zbożna i bezgrzeszna
Nowa chata,—świątynia mojego narodu.

Pszczoly mogił piastowych! O, duchy ojcowe!
O, cicha Męko Pańska z polnego rozdroża!
Niech tu oczom zabłyśnie odkupienia zorza!
Niech tu moc zmartwychwstania opromieni głowę!

W pracy siewcy, oracza i żeńca,
Gdy w nią patrzę na mej ziemi tu,
Czuję ziarna piastowego wieńca,
Czuję wskrzeszność tworzącego tchu.

I wiem czemu, poprzez lzy i blizny
Na wschód gnany wśród żołdackich zgraj,
Lud się polski, modląc do ojczyzny,
Chrzcił ją mianem — «przenajświętszy kraj».

Okienka chat się palą czerwienią ogniska,
Kędy powszednia troska krząta się pokorna.
Nad strzechą zapaliła się gwiazda wieczorna
I w głębokich niebiosach bladą perłą błyska:

«Pokój! Pokój wam, twarde, spracowane ręce!
Pokój, w rumianem świetle pochylone głowy!
Pokój ci, ogniu jasny i stole dębowy,—
Pokój, wieszczony niegdyś w przelśnionej stajence!»

Oczom, które wiele płakały,
Ustom, co zmilczały skarg wiele,
Barkom, co się z wichrem zmagaly,
Dłoniom, które siały wesele...

Tobie, życia prawdo-krwawico,
Pierworodna w mocy i sławie,
Pod wieczornych dzwonów tęsknicą
Korne dzięki śląc, — błogosławię.

Stworzył świat, jak pisał Bóg, jak pisał
Synonim, jak pod słowem wicher, nie wicher, wicher,
Światy, jak wicher, jak wicher, jak wicher,
Machnął, tak w budowie świata, jak wicher.

O, jakie były tajemne wicher, wicher,
W wicher, wicher, wicher, wicher, wicher,
Sukot, jak wicher, wicher, wicher, wicher,
Na kharowych wicher, wicher, wicher, wicher.

VI

Osom, które wiele płakaly,
Latom, co zarobiły skazy wiele,
Barkom, co sięgły wieków wargaly,
Dziwcom, które żyły w ślepie...

Tobie,ynie przewid-krawiwo,
Pierwocidze w gony i sławie,
Pod wieczornych ^{IV}Wysuńców tyknic,
Kamie dzieki lat, — bogactwie.

Stworzyć dzieło tak pełne harmonji, jak róża;
Symfonię, jak pod słońcem wicher na stepie wolny;
Świątynię, jako błękit nieb, gdy się rozchmurza;
Maszynę, tak w budowie prostą, jak żuk polny.

O, jeden rytm tajemny wieczności oddechu
Wynieść z niemych sezamów skarbnicy Letejskiej!
Sztuko! blade zwierciadło Bożego uśmiechu,
Na Ikarowych skrzydłach ogniu Prometejski!

Słowa — żalnice kryształowe,
Kędy ludzkości łza zapadła.
Słowa — krynice Narcyzowe.
Słowa — natchnionych snów zwierciadła.

Cóż, że dziś strumień krwi i błota
Przez wasze brzegi się przelewa —
Gdy nawet w jego szumie śpiewa
Nasza harmonji sfer tęsknota.

Wiecznie-ż nizać lez krwawych różańce?
Wiecznie spalać słów ogni języki?
Wiecznie więzić sny raju wygnańce?
Wiecznie śpiewać gwiazd błędnych muzyki?

Wszak sklębiona toń uczuć i czynów —
Czeka jeno pogody serdecznej,
By lec stopom, jak wschody z rubinów,
W wrota jutrzni wiodące słonecznej.

Ekstatyczne zab i świerszczów chóry,
Spadających gwiazd girlandy lotne...
Wielki spokój uśpionej natury —
I bezsenne cierpienie samotne.

O, jak liść spaść pod stopy bolesne!
O, jak skra miłowaniem się zetlić!
Jak na chusty Weroniki bezkresne
Łzy wszechświata na się wziąć — i przeświecić!

Któryś wlał w ranek życia taki wdzięk radosny,
I odział uśmiech dziecka całym blaskiem słońca,
I uczynił talizman z pierwszych kwiatów wiosny,
A z wiosennego ptaka dobrej wieści gońca...

Panie! daj przejrzeć szczęście dobrej tajemnicy
Siewcom, co łzami siali martwych trudów niwę:
Że twego świtu ziarno trwa w wszelkiej tęsknicy,
A śmierć — to nowym dalom zrodzenie szczęśliwe.

Kto ukazał mi suchą trumienkę kokona,
Skąd dawna gąsienica motylem wleciała,
I kokon cichej trumny, gdzie, w mroku stulona,
Spoczywa senna larwa znużonego ciała?

Kto ukazał mi łąki kwieciste i ciche,
Gdzie klejnot-motyl w słońcu wyzwolon ulata, —
I błękitne ogrójce gwiazdzistego świata,
Które śni, w gąsienicy uwięziona, psyche?

Choć sen nie wie nic o przebudzeniu,
O śnie swoim przebudzenie wie:
Duch, wśród jawy upowity w cieniu,
Pracował w śnie.

Aż, gdy Pan go obudził z mogiły
I w wiatr cisnął z wód gwiaździstych den,—
Poznał, że mu jawy snami były,
A jawą — sen.

O, kurowie Piotrowi! O, zaprzeczyciele!
Codnia piejecie nasze upadki i zdrady,
I codnia świt budzicie, od litości blade,
Gdy rosa łzami skruchy po ziemi się ściele.

O, niemocy serc ludzkich! Gwiazd gasnących bole!
Drabino dusz, wiodąca w Jasności wierzeje!
Form widzialne żywoty, — tajemne symbole
Mysterjum, co nad nami w bezmiarach się dzieje.

Sprawiedliwość to nie miecz, co uderza,
Lecz źródło żywy, co ratuje z posuchy,
Nie praw ludzkich skuwające łańcuchy,
Ale skrzydło, lot niosące w bezbrzeża.

Ona karą nie przytłacza grzesznika,
Głazem winy dróg polotu nie wzbrania,
Lecz wciąż wyższe wrota w światło odmyka
I jest ciągłym szlakiem zmartwychwstania.

Głos, który gromem zmącił ciszę,
Nie wie, że w gromie «iskra» rzekl.
Kwiat, co w kielichu jad kołysze,
Nie wie, że w jądzie ukrył lek.

Serce, co płacze krwią i łzami,
Nie wie, że skwita w łaski krzew,
Człek, który krzywdą dłonie plami,
Nie wie, że sieje jutra siew.

Modliłam się o piorun modlitwą rozpaczy, —
O piorun nienawiści i miecz niszczycielski, —
A Tyś mi zesłał promień pogody anielskiej,
Co nawet nie przebacza, bo komuż przebaczy?

Komuż i co przebaczy? Jakich zbrodni czyny,
Gdy zmartwychwstanie daje pocałunek zdrajców?
Więc bądź mi dziś miłościw, i odpuść mi winy, —
Choć ja do odpuszczenia nie mam winowajców.

W wszystkich drzewach rośnie Drzewo Żywota,
W wszystkich zbożach Hostja wciela się Słowu,
W wszystkich gajach śni Ogrójców tęsknota,
W wszystkich wodach cud Szczęsnego Polowu.

Jeno oczy otworzyć światłością,
Jeno myślą bezsilną nie pytać, —
Ale serce rozpalić miłością
I w człowieku — Chrystusa powitać.

Czasem w ludziach duch skrył się, jako źródło w skale,
Pod taką zimną warstwą twardego kamienia,
Że możesz się doń modlić i ginąć z pragnienia,
Lub minąć, tajemnicy skał nie wierząc wcale.

I dziw, kiedy z pod kurzu martwoty codziennej
Westchnie nagłą pięknością, jak anioł, co wskrzesza.
Zdrój żywy jest i tęskni w swej piersi kamiennej,
Jeno, by go wyzwolić, — trza łaski Mojżesza.

Placzą ludy, nieskończenie placzą
Całym morzem, całym morzem łez.
Któż zapali jutrznię przed rozpaczą?
Któż położy czarnej nocy kres?

Czyjeż serce, miłosierdzie czyje
Zatli słońce w każdej ludzkiej łzie,
Kiedy światło w nas li samych żyje —
Na dnie samem, głęboko na dnie...

O, święty płomieniu Znicza,
Wieczysta skro adoracji!
Godzino lez tajemnicza
W ostatniej Ogrójca stacji!

Hostjo słoneczna nad żytem,
Kiedy serc biją zegary
Godzinę między rozkwitem
A złotem ziarnem ofiary!

O, nie płaczcie, oczy moje! nie płaczcie!
Usta moje, krwawy cierń ucałujcie!
Aniołowie, łzom się serca litujcie
I samotni jego grzesznej — przebaczcie!

O, przebaczcie, aniołowie i ludzie,
Ludzie bracia, ludzie świąty bezdenne —
Iżem śniła przejść w radosnym beztrudzie
Głębie życia, krwią męczeńską brzemienne.

Tajń, którą szepce kłóśny lan,
I lazurowy uśmiech lnów,
I zachodowy muszek tan,
I pocałunek zielnych tchów —

To wieść — że w zbiegu polnych dróg,
Gdzie oko szuka drogi wzwyż,
Wzniosła dłoń łaski w zorze próg —
— Chrystusów krzyż.

Do Ciebie się modlił, do Ciebie,
O, Słowo wieczyste Złota,
Gdy ducha mi Twoja tekiasta,
Jak wieże kępczowy łobka.

O słowa się modlił, o słowa,
Tak prosił i wierny jak zycie
Tak prosił, by Twoja była
Wszak magia w swym lab kryształowa.

VII

Nie prosił, by demokracja go stronił,
Bo wieści, że choć polskie narodził.
Musyła winowajców iwać beżak
I duszy łepocią ród kół.

Nie prosił, by sława była poga,
Bo wieści, że słońce światła prosił.
To światła, prosił prosił.
A światła, światła, światła, światła.

Leży prosił, by Twoja tekiasta,
Słoby w nas prosił i światła,
W nam światła i Twoja światła,
O, Słowo wieczyste Złota.

Tę, która wspaniałym
I jasnym niemiarkim
I zachodowym słońcem
I powalnym słońcem

Wiedzi — to w słońcu polnych
Ciebie — obojętnie
Waniasz — dzień i w noc
Chryszczy —

Do Ciebie się modłę, do Ciebie,
O, Słowo wieczyste Żywota,
Gdy ducha mi Twoja tęsknota,
Jak wicher księżycowy kolebie.

O słowo się modłę, o słowo,
Tak proste i wierne, jak życie —
Tak czyste, by Twoje odbicie
Wziąć mogło w swą głąb kryształową.

Nie przeto, by dźwiękiem je stroić,
Bo wiem, że choć pęknie narzędzie,
Muzyka wieczyście trwać będzie
I duchy jasnością zórz koić.

Nie przeto, by sława szła pusta,
Bo wiem, że słów wiecznych poczęcie
To śmierci otwarte pieczęcie,
A śmierć całowała mię w usta.

Lecz przeto, by Twoja tęsknota,
Jedyna w nas prawda i chwała,
W mem słowie o Tobie śpiewała,
O, Słowo wieczyste Żywota!

Z jakich mroków wywiodłeś mię, Panie,
Których pamięć nie żyje już we mnie?
W jakich światel mię wiedziesz zaranie,
Które przejrzeć pożądam daremnie?

Skąd me grozy w ciemności wylęgle,
Własnych głębin zawroty i lęki,
I poloty mych cisz niebosięgle, —
Położenie na sercu Twej ręki?

Gdzież, o Panie, mej doli granice?
Między jaką wyżyną a głębią
Krwi mej mroczne pożary się klębią,
Zapalają się snów mych gwiazdzice?

Jakiejż znajdzie ucieczki wydroże
Na bezmiary nieznane rozpięta
Ludzka dusza, wyklęta czy święta, —
Gdy się w Tobie nie znajdzie, mój Boże?

Dobra służebna Śmierć
W śnie była u mnie dziś nocą,
Aby pouczyć mnie, poco
Ślepe tu dni się szamocą,
Jak ptaki, ujęte w sieć.

Dobra służebna Śmierć
(Wiedz, że nie forma to pusta
Twarz w światło i czarna chusta!)
Pocałowała mię w usta.
Przed czem, o, przed czem ci drzeć?

Dobra służebna Śmierć
Lekko rozwarła podwoje,
I oczy ujrzały moje
Gwiazdnych gościńców spokoje...
Ku nim, tęsknoto ma, leć!

Na obosieczny krzywdy miecz
Wylałam strumień gorzkich łez, —
Lecz kres pozostał, gdzie był kres,
A mój się czyn nie cofnął wstecz.

Na obosieczny krzywdy miecz
Wylałam buntu krwawy żar, —
Lecz żar się w rdzę i popiół starł,
A mój się czyn nie cofnął wstecz.

Na obosieczny krzywdy miecz
Trysnął z dna męki Światła zdrój, —
I oto czyn uklęknął mój,
I wstał, i zginął w zorzach — precz. —

Jak dziecko mię wiedziesz za rękę,
Jak dziecko z ślepemi oczyma:
Przez radość, przez grzech i przez mękę
Dłoń Twoja mię wiedzie i trzyma.

Przez stopnie tajemne żywiołów,
Przez jawy i snu tajemnice,
Tyś wiódł mię i krył mi źrenice
Skrzydłami nieznanym aniołów.

Od ziemi, z tęcz błotnych łańcucha
Wywiodłeś mię w wodne otchłanie,
I z wód zratowałeś mi ducha,
I w wiatr Twój cisnąłeś mię, Panie!

Skruszone łańcucha ogniwa!
Skruszone pieczęcie milczenia!
Twój błękit mię całą porywa,
Twój błękit mię całą przemienia!

I czekam ostatniej już łaski,
Gdy, nie wiem przez szczęście czy mękę,
Chrztem ognia w świetliste mię blaski
Powiedziesz, jak dziecko, za rękę.

Pięknego kłamstwa mową kłamną
Chwaliłam życie z grobu pleśni, —
A Tyś znienacka stanął za mną,
I trącił grób i rzekł mu — «wskrześnij!»

W nieistniejące cuda łaski
Kryłam zwątpienia strute zdroje, —
A Tyś w nie wlał Twej prawdy blaski
I spełnił prawdą kłamstwo moje.

I, jako skra, co słońcem pała,
Anielska na mnie spadła trwoga, —
Kiedym na duszy dnie ujrzała
W mem kłamstwie prawdę — uśmiech Boga.

Na moje usta Pan położył słowo,
Jako przymierza pieczęć szmaragdową.

Uszy napelnił muzyką bezmierną,
Grającą w dźwięku i w milczeniu wierną.

Oczy, osleple od kurzu próżności,
Dotknął palcami widzącej Światłości

I zatlił serce skrą łask i poskromień
W adoracyjny miłowania płomień.

I oto wiem już, żem idąca społem
Z kwiatem, kamieniem, człowiekiem, aniołem.

Żem — z Wszystkiem Jedno, — i jedna mi droga:
Przez mrok i ogień do Światła i Boga.

10/VII — 25/VII
1918

Na moie wstępnie...
Jako przynależność...
Ch...
A...
Uży...
Grając w...
W...
Oczy...
Dotknij...
I...
W...
I...
X...
Z...
Zem...
Przez...

10/VII - 25/VII

1918

UZUPEŁNIENIE

(WIERSZE PRZEZNACZONE DO II WYDANIA
PIERŚCIENIA ŻYCIA, KTÓRE MIAŁO WYJŚĆ
P. T. MODLITEWNIK MARJI IZYDY)

U Z U P E F N I E N I E

WIERZBY WARSZAWY DO II WYDANIA
PIRACJONIA STOLA KTORZ MIAOWIAC
P. T. MODJESZK WAZLI IZYOTI

Marji Izydy gwiaździsty kwef
Na szafirowej nocy przeznaczeń:
O, witaj, łasko niemych przebaczeń
Za oścień nędzy, i grób, i krew!

Marji Izydy gwiaździsty kwef
Na lazurowej ciszy zwiastowań:
O, witaj, łasko skrzydlatych snowań,
Zakłęta w słowo, i sen, i śpiew!

Marji Izydy gwiaździsty kwef
Na świetlejącej jutrzni objawień:
O, witaj, łasko ofiarnych zbawień
Przez gorejący Żywota krzew!

Strzeż się, duszo moja, pychy samotnej,
Co się Wielkiej Jedności wymyka:
Borem jeno gra wieków muzyka,
Łan li kłosia plon daje stokrotny.

Tak jak drzewo nie stanowi boru,
Jak kłos jeden nie stanowi łanu,
Tak duch jeden, zmartwychwstały w Panu,
Jest li jutrznią, przedzwiadunką zbioru.

Tobie z ludzkiego smutku
Dusza jak wiatr się odryła
I pije z gwiazd twych i słońca
Komunię z krwi i z ciała
Kawę z kawy i z mleka
Wszystko z wszystkiego
Wszystko z wszystkiego

Ziemia śni wiecznie utracony raj:
W smętnym uśmiechu wniebowziętych cisz,
Co nad walek morzem lecą w niebios kraj,
Jak z bojowiska podniesiony krzyż.

Królestwo Boże dusza wiecznie śni:
W nieukojeniu wszystkich twórczych dróg,
W iskrze tęsknoty, która wszędzie tli —
Zwierciadłach ducha, w które patrzy Bóg.

Niewyczerpanie, niestrudzenie,
Skoś dźwięki świata i milczenie,
Skoś wszystkie barwy, sny i blaski
Przepływa strumień żywej łaski,
Płynie wieczysty, niestrudzony,
Skoś wszystkie siewy, wszystkie plony.

Pod siedmiobarwną arką tęczy
Strwożona myśl z ufnością klęczy...
Skoś lazurowe błyskawice
Sączą się z wieków tajemnice...
Po szczerozłotym moście zorzy
Z niebiosów duch zstępuje Boży...

Krzywdzona nieraz kłamstwa piętnem,
Zwana szyderstwem obojętnem
Zato, że patrzysz w kształtów męki
Z niemym uśmiechem wszechpodzięki,
Harmonjo święta, Pra-macierzy,
Tyś zdroj żywota wiecznie świeży!

Tobie z ludzkiego mogilnika
Dusza jak muszla się odmyka.
I pije z gwiazd twych i żywiolów
Komunję ślaną przez aniołów
Niewyczerpanie, niestrudzenie,
Niby przeczucie i wspomnienie...

W wieczornych dzwonach polami szły
Wilgotne mgły
I spowijały runem swem
Jak srebrnym lnem, jak dobrym snem,
Jak skrzydlatemi lzy.

W wieczornych dzwonach polami szły
Wilgotne mgły
I otulały serca pąk
W pieszczący krąg matczynych rąk,
W zaziemskich pociech sny.

W wieczornych dzwonach polami szły
Wilgotne mgły
I obudzały cicho z dna
To drugie *ja*, co w głębiach trwa
I wie, że Bóg — to my —

Nieznani bracia moi, samotnicy ciśi,
Błdych gwiazd rybakowie, głębin pracownicy,
Zatopieni w szafirze wspólnej tajemnicy,
Rycerze, mędracy, króle, żebracy i mnisi!

Ciche kolumny światel! Drogo zórz skrzydlata!
Jakże słodko mi w niemej, radosnej podzięce
Wyciągnąć ku wam pełne błogosławieństw ręce
Skoś bezpłodne pustynie powszedniego świata...

Z żywiołu wody, z głębin milczenia,
Wyrwał mię Pan:
Prześwietlił oczy łaską przejrzenia,
Napelnil usta chwałą stworzenia —
Głos jest mi dan!

Niechże więc chwałę, o Światło światła,
niechże więc chwałę cud:
W niebie, i w ziemi, i w duszy mojej, —
duszy wyrwanej z wód.

Cisnął mię Pan mój w ducha otchłanie,
W gwiazdzistą wyż,
Abym ujrziała święte zaranie,
Umiłowanie i zmartwychwstanie,
Słońce i krzyż.

Niechże więc chwałę, o Światło światła,
niechże więc chwałę cud:
W ziemi, i w niebie, i w duszy mojej, —
duszy wyrwanej z wód.

Jako Lew w mroku, jak Orzeł gwałtowny,
Jak chmura ognia, czyhał na mnie On!
I w więźbie Jego życiodajnych szpon
Rozkolysała się dusza jak dzwon
I gra Mu hymn — żywota hymn bezmowny.

Jakoż Cię, Panie, pieśni mogą sławić?
Jedyną pieśnią mój ku Tobie lot,
Jedyną grozą Twojej bojaźni młot,
Jedyną prawdą Twojej miłości grot.
O, słów mi jeno daj — by błogosławić!!!

Na kłosnym łanie wiatru wianie,
Muśnięcie twoich szat.
W mej duszy uśmiech i śpiewanie,
Przyklekły w rosie kwiat.

Łan marzy cud o światów chlebie,
Świt Światła Gród buduje w niebie.
Niechże się stanie, co jest z Ciebie,
Panie, Panie!

Cisnął mię Pan mój w ducha stobłanie,

W gwiazdzistą wyz,
Abyś urzala święte zaranie,
Umilowanie i zmartwychwstanie,
Słońce i krzyż.

Niechże więc chwale, o Światło świata,
niechże więc chwale cud:
W ziemi, i w niebie, i w duszy mojej, —
duszy wyrwanej z wód.

O, jakże jasne są lotne chmurki Boże! O, jakże
słodkie są zorzel
Słyszycie świergot ptaków? Widzicie klęczące zboże?
Czujecie wód porannych niezamącone spokoje?
Zmilknijcie — wargi moje...

Umiłowanie... O, niezglębione, tajemne, wieczne
umiłowanie!
Szczęście bez dna, bez dna! Śpiewne, skrzydlate
otchłanie...
Krzyż poprzez ciernie róż... światła karmiące zdroje...
Zamilknij — serce moje...

O święty! święty! święty! Niepojęty! nieogarnięty Bóg!
Krzyżem związał odmęty! Krzyżem twą nicość zmógł!
Nieskończoność Mu prochem — a w tobie, prochu,
trwa.

Zamilknij — duszo ma...

Ślimaczkę ducha, zasklepiającą ból!

Cierpiący trudzie, powszedniej pracy ulu!

Żywota słońce, ukrzyżowany królu!

Zaworo prawdy, tajemna Isis złota!

Z iluż giełł cierpiący człek cię odmota,

Nim wejrzysz weń słoneczną twarzą Żywota!

Mroczna otchłań ludzkiego cierpienia,
Sama w siebie bezdennie wpatrzona,
Jak grobowiec nam pierś okamienia,
Ślepi oczy jak głucha zasłona —

Że nie widzimy, jak zewsząd dokoła
Czyha na nas pociecha skrzydlata,
Jak nas wabi, osacza i woła
Niebo, żywot, Boża radość świata.

Krzywdza rani jeno krzywdziciela,
Póki nie wzrósł nad swój własny czyn:
Bo z wszechcierpień blask żywy wystrzela,
A duch cierpi z popelnionych win.

Jeno trzeba podnioslejszej mocy,
Aby pojąć skrytą krzywdy treść,
Wświecić gwiazdy w pomrokę jej nocy
I w te gwiazdy cierpieniem się wznieść.

Oświeć mię, czyli kląć mam czy mam błogosławić
Losy, co nas strąciły w lun i krwi zawieję?
Czy w Twe gwiazdy uciekać od zła, co się dzieje,
Czy dać w pożarze boru jako liść się strawić?

Wiem, że ku Sobie wiesziesz przez życia otchłanie
Syny Twe, jako w gwiazdach wypisał Zbawiciel...
Przez-że dzisiaj ćmi gwiazdy Twój ogień-niszczyciel?
Kędyż w Twoje Królestwo szlak?—Oświeć mię, Pani!

Co to jest sen? co to jest sen?
To gruntowanie gwiazdnych den.

Co to jest woń? co to jest woń?
To prawspomnienia kwietna toń.

Co to jest blask? co to jest blask?
To wszechprzecucie Bożych łask.

Co to jest duch? co to jest duch?
To Jedność w Trójcy, Trójca z Dwóch.

Płomień na niebie się pali,
A drugi płomień we fali:
Pańskiego sądu gniew.
Co w górze — to i na dole,
Człowiecze i Boże bole,
Nieba i ziemi krew.

Splonione z jaśni turkusa
Krwawiące słońce Chrystusa
Broczy obojgiem ran.
Żeś dwie te męki ogniste
W Twem sercu splomienil, Chryste,
Tyś serc i niebios Pan.

Miłość moja — pożarna ślepota
Nad przepaścią — jak wicher mną kolebie.
Dech mój spala, zabija pieszczota:
— Ból i krzywda me imię bez Ciebie.

Miłość moja — widząca słoneczność,
W kwiat anielski rozkwitła na globie —
Wskresza szczęścia świetlistą przedwieczność:
— Wszchemoc żywa to imię me w Tobie.

Moje wczoraj ukąpane krwią,
Moje wczoraj w pieklach zbrodni gości.
Jeszcze iskry obłąkane tłą
W mrocznym splocie śmierci i miłości.

Jeszcze nie śmiem wejrzeć aż do dna,
W oną otchłań co bluzga mi w oczy
Pokuszeniem: nie ty — ale ja!
Nóż mych mroków, co twoją krwią broczy!

Jeszcze stopy pali ognia ślad,
Serce tonie w krwi co zeń wyciekła —
A już brzask poprzed oczy mi padł:
Archanielski mur nad mrokiem piekła.

I już wiem, że me wczoraj — to sny,
Mgły bezsilne, rozerwane sidła —
Że je spalił ból, obmyły łzy,
I już wiem, że mi Pan mój dał skrzydła.

Wyśliznęłam się z sidła, jak ptak!
Oczy kąpie błękitność przedranna...
Światła wieków otwiera się szlak.
O hosanna! hosanna! hosanna!

Serdeczne rozrzewnienie

Jak wiosenna ruń

Kielkuje, kielkuje

na dnie.

Kurz przysypuje,

Przytłacza je gruz,

I biega i biega

dnie.

Serdeczne rozrzewnienie —

O, nie zechciej się śmiać! —

I w tobie — i w tobie

trwa.

Wybuja — w alleluja,

Zafaluje jak łan —

Choć nie wiesz, choć nie wiesz

dnia.

Głęboki błękit, oblok biały,
We słońcu rudej sosny pień,
Gdzie starych smutków strute strzały
Słyszałam jak się ze mnie śmiały
W igliwiu pełnem złotych drzeń.
Szumi szeroki dech przestrzenny
Ruchem gałązek w słońcu skrzy,
Sosna w otchłani nieb bezdennej,
Jak złoty pająk sturamienny,
Przędzie błękitne moje sny.
Hej igły, które wiatr kolebie,
Siejące światła złoty chrzest!
Hej obłokowie mknący w niebie —
Już niema mnie, już niema ciebie,
A szczęście jest! A szczęście jest!

Ja jestem, wy jesteście
W Bożej myśli szeleście,
W Bożych dumań przedświecie,
Co nazywa się — życie.

Ja jestem, wy jesteście
Prawiecznej prawdy wieście:
Nieogarnięta droga
Z Boga — przez Boga — do Boga.

Krwi krople, które uronił Bóg,
Z krzyża polnego rozstaja
Padły na cicho klęczący glóg,
Co Pańskie stopy umaja.

I glóg rozkwitnął, i trysnął wzwyż,
I odtąd rok roku wiernie
Jednoczy w słońcu róże i krzyż —
— Przez ciernie swoje, przez ciernie...

Pokłony zbożnych niw,
Klęczące modre lny,
Pogoda złotych żniw —
To ty.

Skruszona pieczęć cisz,
I cud otwartych drzwi,
I przesłoneczny krzyż —
To ty.

Żywota gwiezdny zrąb
I Boże skrzydła trzy,
I wszechmiłości głąb —
To ty.

Zdobyć się na pokorę, nic tylko na pokorę,
Być jako ptak schwytyany, jak małe dziecko chore,
Jak ziemniaczany kielek na mrocznym dnie piwnicy,
Jako bezpiorunowe westchnienie błyskawicy;
Ugiąć się pod powiewem Twojej najświętszej dłoni,
Jak ta wiosenna trawa, co się tak miękko kloni —

Miłości moja wierna,
W kłos nie rozkwitła tu,
Schroniona w głębie snu,
Przedwieczna i bezmierna!

Z oparów łez i krwi,
Z krzywd trójraniących cierni,
Z czarnych od męki dni
Wskrzyszona w blask najwierniej!

Z mych wyzwolonych rąk,
Z ust, klątwy już niezdolnych,
Z oczu, od łez już wolnych,
Z serca, co zbyło mąk —

Miłości — obca mowie —
(Milczeń się, duszo, ucz!)
W błękitnem Po-za-słowie
Święcę ci Pierścień — klucz.

Klucz gwiezdnych snów szafiru,
Pierścień samotnych cisz:
Spromienion z ognia wiru
Runiczny ducha krzyż.

Łosy bóg,
wytrysk kwitających sil,
ptasie kapele,
szumów chór
śpiewanie, śpiewanie, śpiewanie.

Kopaliński, dekki, bole, dawa.

TARTAK SŁONECZNY
przewartościowanie
złębianie dna? (1923)

Rozpatrzmy rzecz po ludzku, po prostu,
jak stobnie matematyczne.

Mamy oto dwie linie, wytyczone:

Pierwsza — lekkość wrostu

Realizujących lodyg piast, sokami życia gwarna
zielona, żywa, witalizująca
od centrum rodzącego ciarna
do granicy rodzącego dołka.

(O ciebie walka podziemna i podziemna,
nieko tajemna

Milosci moje wierna,
W kisa nie rozkwitla tu,
Schroniona w kielichu,
Przedwieczna i bezsmiertelna.

Z oparów las i kwiatów,
Z krawędzi nieogranych ścieżek,

TARTAK SŁONECZNY
Wskrzeszona w blasku odwieczności
(1933)

Z mych wyzwolonych rąk,
Z ust, kłótwy już niezdolnych,
Z oczu, od las już wolnych,
Z serca, co było mąk —

Milosci — obca mowa —
(Milcząc się, duszą, ucisł)
W błękitnem Po-za-słowie
Święcę ci Pierścien — klucza.

Klucz gwiazdowych snów szafira,
Pierścien samotnych oczu:
Spromieniona z ognia wiru
Rudoczerwony Jucha krzyżu.

Czarny bór;
wytrysk kwitnących sił,
ptasie kapele,
szumów chór —
śpiewanie, śpiewanie, śpiewanie...

Kopalniaki, deski, bele, drwa...
W zgrzycie świszczących pił
przewartościowanie?
zglębianie dna?

Rozpatrzmy rzecz po ludzku, po prostu,
jak zadanie matematyczne.

Mamy oto dwie linje wytyczne:

Pierwsza — tęsknota wzrostu.
Roślinnych lodyg pieśń, sokami życia gwarna,
zielona, żywa, wzlatująca
od centru rodzącego ziarna
do centru rodzącego słońca.

(O cicha walko podniebna i podziemna,
męko tajemna

odchyleń stokrotnych!
tajnico wszystkich siewów, zwiędnień i rozkwitów,
błogosławieństwo szczytów
prostych i samotnych!)

Pierwsza linja—to stugłoso, śpiewający, roz tęskniony
boru wzlot.

Druga linja — to śmiertelny grot
ciosu, złomu;
linja poziomą,
którą wykreśla zgon.
Obręcz czerwona,
znacząca skazane pnie,
piła ostrzona,
topór, co tnie.

(O rozpostarte miłościwie ramiona,
o wichry, o kołysania, o śpiewy!
O starodrzewy...
Głową skrzydlatą o ziem! o ziem! o ziem!
Czemżeście były? snem?)

Druga linja — to poziom; widnokręznem ostrzem
przecinająca pion
przecięciem jak najprostszem.

(O tajemnico dokonań odwiecznych,
pieczęci złota —
w zbiegu życia i śmierci wykreśleń koniecznych

ty nieodmiennie tryskasz snopem zórz słonecznych,
światłem żywota!)

Droga się rozwiązuje z wymiarów w bezmiary:
pion strzelający wzwyż
i poziom, rozpostarty nad światem,
kreślą swym nieodmiennym, koniecznym stygmatem
symbol ofiary
— Krzyż!

A tu już brak
i miar i słów...
Zrób krzyża znak
i pacierz zmów.

Zatrzymali się na horyzoncie,
Olbrzymi, nieruchomi, niemi,
w miłościwem ramion rozpostarcu,
jak hufiec na obronę ziemi.

I mówią potężnym gestem,
zarysowanym w błękitcie,
i drobnych liści szelestem
i chrztem słonecznych plam
— hasło —
zapomnianą, odwieczną, wspólną tajemnicę...

Czy ją uchwycę?

Chyba mi być wiewiórką,
rudym błyskiem
w zieleni,
nagłym wytryskiem
promieni,
skokiem
wesela...
Albo zieloną jaszczurką,
prującą się wśród ziela,
ślepkim zielonookiem.

Albo radosnym kosem,
co gwizdże czystym głosem
ton wykrojony, wracający w śpiewie,
jak wykrój liścia na drzewie.

Albo zasumowanym borsukiem
w najgłębszym zmroczu kniej...

Lub tęgoskrzydłym żukiem,
który rozbija po leśnej polanie
swój organowy lot...

Wtedy może byłabym w niej —
Wtedy byłabym nią — tajemnicą...

A otom — człowiek.

Idę pod świerków gotycką iglicą,
pod dębem, jak pod mieczem Michała Anioła,
i tylko — pytam.

I — mijam, mijam, mijam tajemnicę,
a wtedy jeno chwytam,
gdy — zabijam.

Huczy tartak, motor drga, świszczą gatry...

Suną potężne pnie,
pila je świszcząc rznie...

Czy słyszysz, pustko ma?

Nito szerokie wiatry
z pól,

nito poświsty kul
i charkot dział.
Pni zwały, czy stosy ciał?
Lecą opilki z drzew
suchym, próżnym strumieniem,
a może krew,
może krew z serc płynąca,
a może piasek w klepsydrze
— jednak mierzące czas...

W śmierci oto przejrzałam twoją tajemnicę,
ale mi nic jej nie wydrze,
jest bowiem społem w nas
— lesie!

Las w śniegu.

Białe anioły drzewa błogosławią,

Skrzydlate krzewy klęczą.

Cisza bez dna.

Okiść opada w słońcu

Z drzew.

Śmiertelne tętno lasu drga od gorączki motorów.

Tartak wre.

Dygocą zębate gatry,

rzną,

pila się wrzyna w miąższ,

kraje miękko hieroglify słoju pnia.

Sunie wciąż, wciąż

morę desek długich, wąskich, niezliczonych,

jak wieka trumien — na hurt...

Jak wieka trumien dla wszystkiego,

dla wszystkiego, cokolwiek bądź żyje na świecie.

Robotnik ostrzy pily.

— Skrry — skrry —

Raz w raz stępionym zębem stali dojeżdża zgrzytliwie

do dna
ostrzącego ząbienie toczydła.

Raz w raz iskry tryskają jak elektryczne świece
na choince

z pod jego zmarzniętych rąk.

— Skrry — skrry —

Podnosi kołnierz bluzy,
patrzy przez okno na biały, daleki las
i kaszle.

Słuchając zgrzytu pił,
krzesząc błękitne iskry tarciami opornych metali,
patrzając w rozdarcia harmonijnych słoików pnia,
człowiek

nie męczy się, nie zrywa, nie rozpacza,
tylko — tęskni.

Tęskni gorzko, boleśnie, nieodparcie
jedną jedyną tęsknotą —
uśmiechu.

Płynie harmonja marzeń między jednym a drugim
zgrzytem zębatych pił,
między jedną a drugą gwiazdą zaiskrzonego buntu,
i wiąże je w arkady każdym wzlotem i opadem serca
w świętą budowę muzyczną.

Wznosi się i opada jak oddech wielkich wód,
jak pełzający wąż, jak napinany luk...

— Skrry — skrry —

«Trzeba dostać protezę kulawemu chłopczykowi z lasu,
co mieszka w smutnej chałupce i pasie białą kozę
na długim sznurku.

Koza ciągnie za sznur, a chłopczyk skacze boleśnie
jak uwiązany na nitce beznogi polny świerszcz...
Może leśna chalupka uśmiechnie mi się szybko
w zachodzie
kiedy ją będę mijal».

— Skrry — skrry —

«I trzeba kupić ciepłą chustkę młodej staruszce
zbierającej chróst
suchemi liljowemi rękami,
co są trzęsące się i wątłe i stężałe od mrozu,
jak wyschnięte zimowe gałązki...
Może podniesie te ręce w radości,
stuknie w zgrabiałe palce,
uśmiechnie się trzęsącemi wargami...»

— Skrry — skrry —

«A nie zapomnieć ochłapa dla parszywego psa,
co mi się będzie lasił i podniesie obwisłe wargi
żałosnym psim uśmiechem...»

— Skrry — skrry —

«Pójdę do miasta i zobaczę znowu czerwony krzyk
nieskończonych kominów fabrycznych
i kolejkę bezrobotnych, tępo wpatrzonych w tępy
szary bruk,
i posłańców w czerwonych frakach, niosących
kinematograficzne plakaty:

dzisiaj — «Chrystus», jutro — «Benefis czterech djabłów»...
...I szaleństwo ulicznego zbytku, ocierające się
twardo o ludzki głód,
jak ostrzona piła o pilnik opornego metalu.
Trzaby iść długo w tłumie i szukać dziecinnego
uśmiechu
i mówić — co?»

— Skrry — skrry —

«Chyba zielony szum lasu zmienić w słowo
i białość śniegu zamienić w słowo i słońce w słowo...
Chyba barwę przetopić w dźwięk,
dźwięk w linję, linję w myśl
i zaznaczyć im strzałką drogę, co wiedzie w uśmiech
stąd?»

— Skrry — skrry —

«Naprzód znaleźć użytek tej zbędnej jałowości trocin
pod nogą,
opilków, co się sypią z krajanych miąższów pni.
To, co do ofiary dorosło i daje ciało ostrzu zębatach pił,
niechaj zdźbła jednego nie traci na mialki proch
codziennosci,
w której grzęźnie krok, w której grzęźnie głos,
jak w watomanej celi szaleńca...

— Skrry — skrry — skrry...

Chryste!»

— — — — —

Szerokie wiatry
zmiatają puszysty śnieg
z wierzchołków rozkołysanych jodel.
Potężny szum nieskończonej słodyczy płynie przez
wielki las
i nad drgającą gorączką tartaku,
nad każdą gwiazdą ziskrzonego buntu metali, nad
każdym wzlotem i opadem człowieczego serca
wiąże tajemnie świętą budowę muzyczną
w słońcu —

KOŁO ŚWIĘCONEJ KREDY

(1925)

KOŁO ŚWIĘCONEJ KREDY

(1923)

KOLO ŚWIECONI I KREDY
(1933)

Opisano wokół mnie koło kredą święconą]
Na przeszłość zapomnianą, na przyszłość zatraconą,
By mię objęło kręgiem, jak szklany nurka dzwon,
Koło nieprzekraczalne, koło nieodwołalne
Jak skon.

Jestem teraz jak nurek w oceanowej głębi,
Kędy się niema walka potwornych potęg kłębi:
Święconej kredy koło sklepiło ślepy krąg,
Co się namiotem dzwonu w kolisty ekran sprzągl.
A za nim widzę mętnie, jak wielkie chińskie cienie,
Człowiecze żywe życie — i walkę — i cierpienie.

Jestem w zaklętym kole świętych świętem
Na krześle giętym
Przy kaloryferze,
W giętych krzesel szpalerze,
Pod elektrycznymi świecami.
Przedemną oltarz, gdzie patrzę z kolei
Na fabryczny krucyfiks, na sztuczny cyklamen,
Na tablice z przykazaniami
Niezlomne:
«Nie pluć», «Nie zebrać» i «Strzec się złodziei».

...Strzec się złodziei...

Amen. Amen. Amen.

Dosyć! Widzę! Wiem już. Nie zapomnę.
Umówmy się, że tak jest! Umówmy się, że tak jest!
Wszystko można zastąpić na świecie.
Chodzi tylko o formę. Chodzi tylko o gest.
Wy nikomu nigdy nie powiecie!
Nie powiecie nikomu ani wy, ani ja,
Że nas pustka dławi za gardła,
Że z koła świętej kredy, jak z pod klosza ze szkła,
Wytłoczono powietrze do dna, do dna, do dna —
I rzeczywistość — umarła.

Niema rzeczywistości. Niema prawdy i treści.
Są tylko puste kształty, w których się nic nie mieści,
Jak dziecinne wydmuszki, jak ślimacze skorupy,
Puste chodzące trumny, puste chodzące trupy.
I jako muszle w górach, świadczące wielkie słowa,
Że i tu niegdyś grzmiała fala oceanowa.

Ale odeszła precz z rykiem zwycięskich surm
Gdzieś poza nami zdala,
Z pobojowisk i turm wychynięta na szturm,
Plująca i zebrząca i kradnąca fala.

I tylko koło kredy ugina się i drży,
Jak szyby miejskich pięt,
Kiedy wóz motorowy przejeżdża ulice.

Czekam, jak spadły nurek w śmiertelnej rozterce,
Aż krąg wód, niezblagany i mocny jak śmierć,
Zmiażdży kłamane sny,
Kaloryfer, krzeselka i święte tablice,
I oprze fale życia o swój własny centr,
Punkt, skrę rzeczywistości, co mi pali pierś: —
Moje serce.

Więc spotykamy się wszyscy
W kole święconej kredy,
Wy, obcy mi, a niekiedy
Bliscy.

Wszystkich was więzi wkrąg
Ślepy horyzont ekranu.

Ach te ucałowania rąk!

«Dobry wieczór, dobry wieczór Panu.
Dziękuję, tak, bardzo dobrze się bawię.
Dziękuję, doskonale się czuję.

Czy drukuję? nie, nie drukuję,
ale czytam wszystkie nowości».

(Czy oni wiedzą, Boże, czy oni wiedzą,
że niema rzeczywistości?)

Było coś, było z nami.

Pamiętam, widzę prawie,
coś przeciekło między palcami
strumyczkiem źródlanej wody...

«Prawda, prawda, panie Jarosławie,
Na życie niema zgody».

«Prawda, prawda, panie Tuwimie,
umknąćby pod podłogę jak mysz,

wykaraskać się w siarkowym dymie...
...Kamieniem? krzyż?»
«Nie pomoże godzina poezji,
Panie Antoni,
Blady wianuszek wykrętnych herezji
nie przesłoni
brzęczących much niesmaku w lepkiej pustce...
...Na Weroniki zakrwawionej chustce,
na którą nie spłynęła łaska tajemnicza
miłosiernego oblicza...
W nas samych tylko, w nas samych na dnie
może zbudzić się iskra, co wszechświat ozłoci
Wojną dobroci...
...Pan wie...
A może Pan i nie wie, bo któż to wie te rzeczy!?»

Kto wie — ten swoje dzisiaj czuje jak ciężki glaz,
Sięgający od podłóg do pował,
I jak chorobę je leczy,
Bo myśli, że zwarjował...
A to tylko — dzisiejszy dzień każdego z nas.
Dlaczego — dlaczego — dlaczego?!
Minęło...
Życie przerosło — uśmiechnęło się i poszło w dal,
Poza nas i nasze dzieło,
poza nasz żal.
...A dni — jak konie białe — biega — biega, biega...

Ani ich nam dogonić, ani się dać stratować
Lotnemi kopytami,

Ani ich śladów w prochu gorączką ust całować,
Ni za lejącem życiem za późno błagać: prowadź,
Ulituj się nad nami!

«I Pan, Panie Kaziu, i Pan!
A bazie? rajery? sasanki?
Wiosenne wino, Tanew i San?
Wypite szklanki?...
I Pan w zaklętym kole — i Pan tu z nami razem
W ślepym kręgu ekranu z ciężkim na sercu głazem!»

O weźmy w ręce ten głaz, ten głaz, co nam piersi uciska,
W obie ręce mocno, z całych sił,
I rzućmy w kłamną dal, co czyha zewsząd bliska,
Ażeby majak pierzchl, aby się rozpadł w pył!

Jak pjany Moskal przed lustra płaszczyzną,
Tak stoję w kręgu złud, co nam w więzienie skrzepl...
O rzućmy głaz, aż kłamstwa jak krople się rozbryzną,
Aż nam popatrzy w oczy śmierci szary ślep,
Popatrzy na nas pustka, a my popatrzym w siebie,
Bo niema dla nas nic prócz nas na ziemi, ani w niebie,
I musimy dorosnąć do naszych własnych snień,
Bo inaczej nas minie, bo inaczej zapomni o nas
jutrzejszy dzień.

Bo oto śnim zakłęci w kole kredy święconej,
W kole martwej pamięci,
W kole złudy straconej.

O rzućmy z piersi glaz, mocno, sprawnie, jak dysk!
Niech pustki czarna dziura
Spojrzy nam oko w oko,
Może w pustce jest ziarno—może w mroku jest błysk...

Hurra!

Wysoko!...

Idą, idą szeregiem,
krokiem, biegiem,
wkrag, wkrag,
niby ze śmigą śmiga,
ludzie-plakaty.

W niezmiennym skurczu rąk
każdy swe hasło dźwiga,
swą cyfrę, słowo, znak —
— nie tak — a tak.

Zakrywają pierś swą człowieczą
wielkimi barwnymi kwadraty
i wprzód i wśpak,
w kolisty szlak,
pod tarcz niezłomnych pieczę.

A obok nich — urocze! urocze! urocze!
brylanty, rajery, warkocze...
Ta tragiczna — w czarno białe pasy,
Ta królewska — w perlister atłasy,
Ta płomienna — w frygijskiej czapce na głowie;
a na każdej kartka etykiety:
Zmigryderowie,

Doucety,
cena — szeregi zer —
Świegot i szmer.

Barwne plamki dobroczynnych kwiatów
z swych woniejących rąk
przyszpilają na piersiach plakatów
i biegną wkrąg
coraz słodsze, coraz łżejsze,
przez coraz kwietniejszy szlak,
roztączone niby gejsze
za parawanami z lak.

Z rajskich krzewów owoc rwą:
banany, gruszki,
pomarańcze,
wszysko tak puste, jak wydmuszki
pod powłoką barwy pstrą...
Kształty próżne, jak sny obłąkańcze.

Dziela pustkę z niezmiennym uśmiechem lic,
powtarzają cyfrę, słowo, znak
naprzód i wspak,
tak i nie tak —
...etykiety, plakaty — nic... nic... nic...
— — — — — — — — — —

Rośnie wkoło nich biała dal,
bromosrebrzysta głąb...
Buchnęły grzmoty trąb,
zaniósł się skrzypiec żal,

trwożne klawisze drżą w rozterce —
«O zstąp, o zstąp, o zstąp
— po drganiu naszych fal...»
Terkoce aparatu serce,
modli się szkło i stal.

Stu jupiterów słońce skrzy
od słońca żywego prawdziwsze —
płyną, płyną po szminkach lży
od lez prawdziwych tkliwsze.
Padł rozmachanej pięści cios
i ugięła się skała,
śmiej roześmiał się w głos,
błóń się odśmiała.
Idą żeńcy, by żać puszcze o świcie
w codziennym trudzie...
Piersi rozsadza serca bicie...
Życie?
Ludzie?

Drga wstążka marzeń, szarfa wrażeń,
tętnią miraż wielkich zdarzeń,
modli się stal i szkło.
Kłamana prawda, kłam prawdziwy,
jak fal spienionych giętkie grzywy
o srebrne biją dno.
Ludzie — plakaty, etykiety
i żywa bromosrebrna głąb...
Dygoce aparatu serce,
trwożne klawisze drżą w rozterce,

lka skrzypiec żal, wre burza trąb:
«O gdzie ty... gdzie ty... gdzie ty?!»

W fal mechanicznych modle żywej
martwego życia złudy dwie
krzyżują się na srebrnym dnie,
odbite w mym upiornym śnie
jak w lustra tafli krzywej.

— — — — —

O gdzie tam gdzie ty...
 W tal mechanicznych modułach żywej
 martwego życia słaby dźwięk
 krzyknął się na srebrnym dźwięku
 obito w mym wnętrzu
 jak ze wnętrza talii przyswój
 płyną...
 od jej przewidywań
 Padł rozmachem jej pióro
 i ugięła się skóra,
 śmiech rozciął się w głos,
 błon się odśmiała...
 Idą ściany, by się poznały w świecie
 w codziennym trudzie...
 Pierśi rozszarpa serca...
 Życie?
 Ludzie?

Dęga wstęka marzeń, szarpa wstęgi
 iptnia miraż wielkich zdarzeń,
 modli się tal i szkło.
 Kłamana prawda, kłam prawdziwy
 jak tal spienionych górkach góry
 o srebrne bóg dno.
 Ludzie — plakaty, etykiety
 i żywa bromosrebrna głąb...
 Dęgoce aparatu serca
 trwożąc klawisz dęgi w reaktor

Czemu ty się łamiesz, niebo, mój
Lazurową pogodę radłom?
Wzruszy miś pod skrawioną globę
Z której kwiaty wyrósł na wiosnę
A ty do mnie śmiechasz się, niebo!

WIERSZE OSTATNIE

(1918—1925)

Co głębiej wiesz, niebo, mój
Mój wzruszył się, niebo,
Jak twoja fala, co w morze schodziła,
I nie wróciła już nigdy, czekali

Co ty wiesz do mnie, niebo, mój,
Co powiesz mi, wielki, niebo,
Mnie ślady chłodny widać ślad
Jak twoja fala w kołysce śnie...
Ale nie wie oświeca, niebo!

Cóż ty mi się łamiesz, niebo, mój,
Cóż się cię wiesz, niebo, mój,
Polegniesz idąc na dół
Z wyłanianiem słońca od nieba,
A może wiesz—i może wiesz, niebo!

WIERŠZE OSTATNIE
(1918-1922)

Czemu ty się śmiejesz, niebo, niebo
Lazurową pogodą radosne?
Wszyscy moi pod skrwawioną glebą,
Z której kwiaty wywołasz na wiosnę...
A ty do mnie uśmiechasz się, niebo?

Co ty do mnie szeptasz, rzeko, rzeko,
Co pluskotasz wesoło mej łodzi?
Moje szczęście uciekło daleko,
Jak twa fala, co w morze uchodzi...
I nie wróci tu już nigdy, rzeko!

Co ty szumisz do mnie, lesie, lesie,
Co powiadasz mej wielkiej tęsknocie?
Moje złudy chłodny wicher niesie
Jak twe liście w konającym złocie...
Ale one nie odkwitną, lesie!

Cóż ty mi się kłonisz, pole, pole,
Cóż się chyliż witalnemi kłosy?
Pożegnałoś idącą mą dolę
Z wyżartemi oczyma od rosy,
A mnie witasz—a mnie witasz, pole?

O wy — pole, rzeko, lesie, niebo!
Ja nie wrócę w sny wasze kochane —
Aż się sama stanę dżdżem i glebą,
Aż się sama już na wieki stanę
Wami — pole, rzeko, lesie, niebo...

Co tu się dzieje, niebo, niebo,
Laxrową pogodą zachodzący,
Wszystcy moi pod skrząciami gwiazdami,
Z kłótni kwiaty wywołasz na wiosnę...
A ty do mnie namiętnie się, niebo?

Co ty do mnie szepcesz, rzeko, rzeko,
Co pluskasz wesoło mej łodzi?
Moje szczęście uciekło daleko,
Jak twoja fala, co w morze uchodzi...
I nie widzi tu już nigdy, rzeko!

Co ty szumisz do mnie, lesie, lesie,
Co powiadasz mej wielkiej tęsknocie?
Moje złoty chłoby wicher niszczy,
Jak twoje liście w konającym szacie...
Ale one nie odwiną, lesie!

Co ty mi się kłaniasz, pole, pole,
Co się chylisz witalnym kłosem?
Potęga iść idę mi doła,
Z wiatrami oczyma od rosy,
A mnie witasz — a mnie witasz, pole!

SIEWNA

Jak lotne białe chusty wzdymają się w niebie obłoki—
Przegania je mocny wiatr — szeroki.

Po rozoranych skibach spłoszone cienie ich gna —
Mienia się złote lśnienia i fioletowe dna.

Pędzą obłoki w niebie i cienie po ugorze —
Płynie przestwór falami — jak morze.

Dłużą się prądy złotych, promieniejących smug
Aż poza widnokregu zstępującego próg.

Gdzie Matka Boska Siewna w dożynnych czeka kłosach
Z rękami ziarna pełnemi, zanurzonemi w niebiosach.

Nie nakochało się lato, nie najarzyło się lato,
Nie nadyszało do słońca zieloną piersią bogatą.

A oto już odchodzi w ten dzień słoneczny i mglisty,
Gdy mleczny pył się przesiewa po drzew makacie
srebrzystej;

Odplywa w jednej łodzi na ołowianem jeziorze
W tym stojącym rybaku co wiosłem ołów porze.

Kraje się ciężko woda niby rola za pługiem
I opada bezsilnie w smutnym pluśnięciu długiem.

POGODA

Różowe malwy, różowe zorze
I zboże — pożęte, bogate zboże.

Łagodne grody świętej pogody,
Stery płowe, bursztynowe, miodowe.

Zabłysła pierwsza gwiazda w różowym niebie,
Granie świerszczy malw zadumą kolebie.

Gną się wiotkie kolumny różowego uśmiechu
W skwarnej ziemi wieczornym oddechu.

Nad zasłuchanym łąnem wstaje pełnia księżycy,
Idzie w malwach cisza przodownica.

W bladej słomy kopice, w grody świętej pogody,
W serc różowe ogrody—w zorze, zboże i miody.

ZIARNO

Po moście złotego kurzu
Anioły zstępują do śpichrza.
Szpara od blasku się zmruża
Kurz się leciutko zwichrza.

(Gorące złote nimby
I lekkie bose stopy...
Żywiczne, przeświecone sęki,
Pachnące zbożne tchy.)

Idą po złotej belce
I mrużąc oczy w cieniu,
Schylają się w milczeniu,
By w ziarnie grążyć ręce.

(Nagie, sypkie bursztyny,
Aniołów wiotkie palce...
Szemrzące cicho ziarno
I rozzwoniony świerszcz.)

Obu dłońmi ważą ciężkie garście
Zaczerpnięte z mrocznego sklepiska
I w blask wznoszą, w słoneczne przepaście,
Sącząc w mrok niby złote źródliśka.

(Cyt! Cyt! sypkiego ziarna...
Cyt! Cyt! dzwonnego świerszcza...
Promienna szpara blasku
I wirujący kurz.)

(Cytł Cylł sypkiego ziarła...
Cylł Cylł dawnonnego świetczka...
Promienna szpara blasku
I wirujący kurz.)
ZIARNO

Czego wy pilnujecie, smukłe malwy różowe,
Przed tym lanem pożętej pszenicy,
Gdzie rosną sterty płowe, bursztynowe, miodowe —
I śpiewają w głos robotnicy?

Jakiej pracy tajemnej różowego uśmiechu
Stróżujecie, życzliwe i pokłonne?
Jakim włościom beztroski, bezżałości, bezgrzechu
Podnosicie kolumny swe wonne?

Kiedy zachód zagaśnie w bladej słomy omgleniach,
Którą smugi różane zasnuły,
Na jakiego czekacie tajemnego dziedzica?...

.

(Nagie, sypkie bursztyny,
Aniołów wiotkie palce...
Szczurzące cicho ziarno
I rozdzwoniły świetlice.)

Oba dłońmi wazą ciężkie garście
Zaczarowało z mrocznego klepiaka
I w blask wznoszą, w słoneczną przepaść,
Sącząc w urok alby złote żółtlika.

Pod wiecznej rytm muzyki
Złociste słoneczniki
Swój smukły kręcąc pień,
Komunję słońca biorą
I klonią się z pokorą
Wciąż głębszą z dnia na dzień.
Ich promieniste lica,
Odwieczna tajemnica
Czerpana z słońca lśnienie,
Złożywszy z barw ofiary,
Śnią nagie, jak zegary
Znaczące Wielki Dzień.
Bogactwem ziarn ciężarne,
Swe wielkie tarcze czarne
Schylają w chłód i cień,
By zakląć swą tęsknotę
W stokrotne oczy złote,
Na Nowej Wiosny Dzień.

Płyną biali obłokowie.
Który z nich mi słowo powie,
Słowo lotne, światłe słowo,
Cichą prawdę obłokową?

Czy ten w puchach, srebrem dziany,
Czy ten w pasma półrozwiany,
Czy ten wzdęty, krągło mleczny,
Czy ten wsnuty w blask słoneczny?

Płyną, płyną modrem niebem,
Ni ich witać solą, chlebem,
Ni ich żegnać łzami, kwiatem,
Gdy tak giną poza światem.

Szepecząc słowo, światłe słowo,
Cichą prawdę obłokową,
W tchach zwawiei, w snach nadziei,
Panta rei, panta rei...

Nów złoty, rzucony w niebie
Jak skórka od pomarańczy;
Jeszcze pośliźnie się Amor
Co w zorzy wieczornej tańczy;

Jeszcze w okrągłych obłoczkach
Pyzaty się Amor pośliźnie
I kryształową amforę
Z różaną ciszą rozbryźnie...

Cicho, słonecznie, puszyście —
Trawy? Nie trawy, a liście.
Liście? Nie liście, a kwiaty.
Nie kwiaty, a blask skrzydlaty.
Nie blask, a twoje przyjście
Moja ty, moja ty, moja ty —
Nie wiecie, nie widzieliście!

Płyną, płyną nad morzem niebem,
Ni ich widać woli, chlebem,
Ni ich zgnąć łzami, kwiatem,
Gdy tak gina poza światem.

Szeptaj słowo, światło słowo,
Cicha, prawdy obłokowa,
W tożbanh zawiści, w snach nadziei,
Panta rei, panta rei.

W bladym żarze
Szkłą się szklarze,
Omdlewa południe
W suchym oparze.

W igliwia rzęsie
Błękit się trzęsie.
Na dyszącem piaskowisku
Jak liszka gnę się.

Pod sosnową opuchą
Wonno, skwarno i sucho.
W macierzankach strzygą świerszcze
W samiutkie ucho.

Myślę o rybach w wodzie,
O smakołykach w lodzie,
I o bladych rosach rozkwitłych
W cienistym, wilgotnym ogrodzie.

Kosańców ostry miecz,
Zielone ostrza kos —
Śmiaćby się w głos, krzyczęby w głos:
Słabości — precz!

Mam tylko wąski, zielony, sprężony rdzeń,
A przecinam świat radością zwycięskich surm!
W błękitny szturm!
Nasze słońce — nasz nowy zwycięski dzień!

W gruz się wałą dostojne śpichrze Kazimierza,
 Co gromadziły ziarno na głody i siewy;
 Trzęsą sercami liści stare białodrzewy
 I pluszcze w piach wiślany fala wiecznie świeża.

Na Kazimierskim rynku pod zmurszałą ścianą
 Zeszły się dwie staruszki i stoją pod progiem:
 — Dziś obok, moja pani, był ksiądz z Panem Bogiem...
 — A jakże, moja pani, był — był dzisiaj rano...

W wirydarzu klasztorным pękają kasztany
 I uderzają twardo o płyty kamienne.
 Słodkie jest uśmiechnięte południe jesienne,
 Co takim ciepłym słońcem złoci białe ściany.

Z jednej strony rzeki jest sad i dom,
Z drugiej kościół i cmentarz.

A po rzece płynie cicho prom —
Chyba jeszcze pamiętasz?

Długi błysk kiedy się zjeżdża do brzegu
I wielka pluskająca płaszczyna fal.

Konie stoją cicho w szeregu,
Przewoźnicy wołają, obłoki płyną w dal.

Nie widać nic — jest wielka płynąca wstęga,
Nad nią rybitwy jak modlitwy i sny.

Nie jesteś nigdzie — myśl brzegów nie dosięga,
Wszystko pluszcze i świeci, faluje i drży...

PROM

W pochmurną wietrzną noc zjeżdżam ku ciemnej rzece.
Na tamtym brzegu, w górze, światłami błyska dom.
«O—O—» w otchłani mroku wiatr nad wodami miece,
Z szumem zwalczanej fali zbliża się ku nam prom.

Woźnica, ja i konie z pospuszczanemi głowy
Czekamy, aż przybiwszy, wryje się w mokry piach.
Zalomotały głucho o drzewny burt podkowy,
Stuknęły krótko koła. Rzeka pluszcze we mgłach.

Wpływamy w nagły szum i pustkę tajemnicy,
Myśl nie dosięga brzegów, jak ich nie widzi wzrok.
Charoni, Krzysztofowie, zarzeczy przewoźnicy,
Tykami gonią otchłań i nawołują mrok.

Zginęły kędyś światła czekającego domu,
Zginęła rzecz daleka, która się zwała «ja»;
Tylko łupina krucha miłosiernego promu
Na tyberjadzkich wodach czy falach Styksu trwa.

Ślepa latarka sięga. Przewozu grosz się spleca,
Schwytny brzeg otchłani.—«Bóg zapłać—zapłać Bóg!»

«O — O —» z dalekich brzegów. Prom z szumem
w mrok zawraca,
I wraca «ja» zgubione w turkot ubitych dróg.

Tylko pozostał chwilę na samym dnie pamięci,
W otchłani mrocznych szumów przewozu tęskny
krzyk —
Aż zmiotło go w ogrodzie muśnięcie mokrych pręci,
Że nie wiadomo kiedy w światłach przed gankiem—
znikł.

BIAŁA GODZINA

I

Zszarzały klombów płomienne rabaty,
Zgasł żar nasturcji i szkarletów krew —
I nagle widać tylko białe kwiaty
Pod ścianą mrocznych drzew.

Gwiazdy zabłysły w gałęziach topoli.
W białych tytoniach krążą szare ómy —
Pamięć nie boli i życie nie boli...
Srebrne są kwiaty i gwiazdy i lzy.

II

Zapaliły się okna we dworze,
W białym dworze, w ganku z winogradem,
Świerszcze strzygą tak mocno — mój Boże —
Gwiazdy świecą w niebie takim bladem.

Płynie woda, płynie srebrna woda
Pod księżycem zdaleka — zdaleka...
Czego szkoda ci? czego ci szkoda?
Że ta rzeka — ucieka?

BIALA GOUZINA

A jeżeli ja ciebie, jedyny,
Pokocham, pokocham na nowo,
U nóg się twoich położę
Tą jesienią gobelinową.

Roześmieję się w orzechach łuskanych,
Zacaluję w miodowych plastrach,
Zapłaczę w jaśminowych perłach
I w białych astrach.

I rozważę w ciężkich słonecznikach
I zakrwawię w jarzębinach na strzesze
I ziarnem z cienistych śpichlerzy
Odchodzącego — rozgrzeszę?

JESIEN'

Padają nasze słowa, jak dojrzałe owoce.
Serce się już nie szamoce i piersi ci już nie druzgoce.

Odleciały. Czy nie wiesz kiedy odleciały ptaki
przelotne?
Tak ciche jest dzisiaj południe słoneczną jesienią
wilgotne.

Ślizga się uśmiech sadu po zamyślonem czole...
Tyle ci pragnęłam powiedzieć, a teraz milczeć wolę.

Wolę śledzić w milczeniu tę nić babiego lata,
Co z moich rąk zaplecionych wraz z twojem
spojrzeniem ulata.

JESIEN

Taka sama pogoda jesienna,
Choć od tamtej przeszło całe życie.
Taka sama głębia bezdenna
W jasnym błękicie.

Takie same serca skrwawione
Drżą bez wiatru na osiczyńnie.
I przędziwo, ciszą niesione,
Pod słońce płynię.

Tylko głębsze rąk załamani! —
Tylko cięższe głowy schylenie,
Tylko szczerze—Odpuść nam, Panie—
I — Wieczne Odpocznienie.

Na gałązce pod listkami
Szary ptaszek się kołysze
I radośnie strzyże ciszę
Błękitnemi nożyczkami.

Strzyże wszystkie moje smutki
Metalicznym, dźwięcznym zgrzytem—
Pod listkami i błękitem
Ptaszek szary i malutki.

Jeszcze, ptaszku, jeszcze, jeszcze
Potnij smutki, potnij zdrady,
A gdy sam już nie dasz rady,
Weź na pomoc polne świerszcze.

OKWIT

Wszystkie sady kwitnące ścięto na bramy tryumfalne.
O, jakież będą owoce, kiedy przyjdzie lato upalne?

O, nie będzie owoców! O, nie będzie czerwonych
czereśni!

Nie odświeżą nam warg spieczonych zerwane
w kwieciu za wcześnie!

W białych płatkach wiśniowych, zdeptanych stopą
zwycięską,

Wiosna naszego tryumfu jest lata naszego klęską.

Wiosna tka radośnie zielony gobelin
Wokół omszałego posągu z kamienia;
Z rezygnacji mojej zapomnianych szczelin
Wypelzają, wypelzają wspomnienia.

Lecą jak komary w czeremchowej woni,
W złotym miodzie klonów, w narcyzowej grzędzie;
Dźwięczek ich fałszywy ucho moje goni,
Leci za mną — leci za mną wszędzie.

Próżno mię osnuwasz w gobelin wiosenny,
Próżno mię czarujesz w czeremchowej bieli;
Jestem obok ciebie jak posąg kamienny,
Brząk komara — brząk komara nas dzieli...

WIOSNA

I

Wiosna dziś, jak w kapeluszu, ubrała się w moje
okno,

Zawiązała wualkę firanki

I patrzy nieba źrenicą błękitną, wilgotną,

Z uśmiechem splakanej kochanki.

Ma lśniący płaszcz wiosenny: mokry jeszcze
przeciwległy dach

I czerwone pelargonje w butonierce.

A ja stoję jak żak i wzdycham: ach!

I ręką przyciskam serce.

Bo serce mam wezbrane jak nabrzmiały pąk na
kasztanie

Od rannej burzy tchu,

I na pęczku fijołków składam pocałowanie,

Przyjmując rendez-vous.

II

Będę czekać w cukierni Ogrodu Saskiego
Na zielono kratkowanej werendzie.
Z ulicy będzie turkot, ale kurzu nie będzie,
Tylko w bluszczu wielki wróbli świergot.

Lody będą kremowe jak herbaciane róże,
Bose dzieci przyniosą tam mokre bzy,
A potem gazetę szarpnie wiatr i słońce błysnie na
murze —
I przyjdiesz ty.

A jeżeli w największej, największej tajemnicy
Powiesz mi: tak —
To ci kupię — baloników kolorowych krzak,
Co kołysze się na rogu ulicy.

III

Rozdamy dzieciom ciastka, wróblom okruszyny,
Emerytom gazety, a żebrakom grosze.
Miastu damy kwiaciarek bzem kapiące kosze
I zrobimy wszystkim imieniny.

Dostaną od nas uśmiech wszyscy—chęć czy nie chęć!
Sprzedawane szczenięta zwrócimy do matek,
Wszystkie kosy od szewców wypuścimy z klatek.
Tylko — Boże kochany — co my damy szewcom?

Na podwórku — — dla dzieci ze szkółki
Wypuścimy pęk balonów — niech leci...
Błękit głęboki, białe obłoki. O patrzcie, dzieci:
Jaskółki — jaskółki — jaskółki!

Włożyli wiośnie welon z białych akacji,
Poprowadzili na ślub.
Dywan z maków czerwonych u stóp;
Polne świerszcze dzwonią w adoracji.

A dziś w nocy przy świetle księżycy
Płaczcie, družki, konwaljowe panny!
Będzie kwitła w paprociach tajemnica
Do samej zorzy rannej.

Aż o świcie — srebrne ostrza kos
Zetną długich traw zielony włos
I oczepią lato na rozłogu
Zielonym czepcem stogu.

PRZEDWIOŚNIE

Kiedy błysnie pierwsze słońce marcowe,
Wtedy mówi: — «Już nie będzie śniegu!»
Podnosi radośnie głowę
I ma ochotę do biegu.

Chce biec, chce fruwać na wzór polnego świerszcza,
Odbijając się leciutko od ziemi,
W roju dziewcząt, nad łąkami mokremi,
I koniecznie, koniecznie być pierwsza.

Być tak pierwsza, jak pierwsze słońce wiosenne,
Jak na wierzbach pierwsze srebrzyste kotki.
Mijać niebo w roztopach bezdenne...
Ach! musi zdjąć już raz te ciężkie, zimowe botki!

Gdyby nie to, że jest roześmianą dziewczyną,
Toby była gałęzią kwitnącej jabłoni,
Kiedy w słońcu białe obłoki płyną
I ptactwo dzwoni.

Gdyby nie to, że jest moją córką kochaną,
Toby ją wiatr pachnący w sadzie kolebał
I śniłaby sen jableczny w wiosenne rano
W uśmiechu nieba.

W KARNECIE BALOWYM

I

Krąg szklisty, świetlisty, wielki

Faluje, śpiewa i drga —

Skrzydlate pantofelki,

Różowa sukni mgła.

 Tęczowe koło się toczy,

 Łańcuch gorących rąk:

 Wkrąg oczy, jak pawie oczy,

 I lampy w lustrach wkrąg.

Nie wiem, czy płynę, czy tańczę,

Do ładu w złotej mgle —

Stół, palma i pomarańcze

I szampan w zimnem szkłe.

 I znów mię fala porywa

 W grającą, lśniącą dal,

 W tę bajkę, co się nazywa

 Najpierwszy bal.

II

Nie miałam nawet czasu zobaczyć się w lustrze;
Pogładzę ręką włosy jak kota, — to będzie krótsze.

Zwierciadła i żyrandole — zaiskrzyło, rozdzwoniło
się nagle.

Mam lód w gardle i pod stopami piękną lodową taflę.

Serce uderza o szkło i drga nutką najwyższą
jazz-bandu —

Zobaczyłam się w oczach tancerza i wiem już, że
jestem ładną.

Zsunięte z palców pierścienie,
Owal mglistego zwierciadła,
Świec trzepoczące płomienie,
Długie rozchwiane cienie,
Głęb nieodgadła.

Z szuflad zwisają kaskady
Wstąg martwych i zwiędłych piór.
W mgłę tiulów wiję się błady
Spłakanych perel sznur.

Tęcze się lamia w flakonach,
W pierścieniach czają się skry.
Połysk na nagich ramionach
Jak pocałunek drży.

Żar włosów głowę przegina,
Tęsknią ramiona i wargi...
Obietnic niemych godzina
W drgającą głęb zaklina
Płomienne skargi.

W świec serca nagie i złote
Oślepla uderza ćma.

Lustro odbija tęsknotę
Jak spływająca lza.

Wilgotna woń rezedy
Daleko gdzieś na dnie...
O kiedy?... Kiedy?... Kiedy?...
Gdzie?...

Nie mogę sobie dać rady, nie mogę sobie dać rady,
Nie mogę znaleźć ratunku —
Wciąż myślę o twych oczach, o twojej twarzy bladej
I smutnych ust pocałunku.

Wciąż widzę twoich włosów czarne jak noc kaskady
I tonę w nich bez ratunku —
Nie mogę sobie dać rady, nie mogę sobie dać rady
Bez twego pocałunku.

A więc się nigdy, nigdy nie zgoi
Śmiertelna rana, krwawiąca rana,
Wzięta z twej ręki i z męki twojej,
Rana śmiertelna — umiłowana?

* * *

Na ranę serca śnieg pada,
Pada powoli, powoli...
Cisza się Bogu spowiada
Z tego, że nic już nie boli.

Znikły anioły i hydry,
Wszystko przewiało, przebrzmiało,
A śnieg z niebieskiej klepsydry
Pada tak biało, tak biało...

Ni ich żegnać łzą gorącą,
Gdy gdzieś giną, gdy się mącą,
Gdy tak cicho wieją w niebie —

Niema Ciebie!

Niema Ciebie!

Śmierć rozpląsana w białych śnieżynkach,
Śmierć obojętna, śmierć beznamiętna...

Litości! precz!

Łzy po uczynkach — niezapominkach —

Pioruny tętna...

Ognisty miecz...

Śnieżyste puchy, pierzaste duchy,

Umarłe skrzydła, dalekie sny...

Blade odjazdy, mrozące gwiazdy,

Krwi żywej pons —

I ty! I ty!

Białych śnieżynek śmiertelny płas.

SIASIA

Drobne słoneczne pukielki
W rzęs słomie dwie niezabudki...
Człowieczek taki malutki,
A mędrzec taki już wielki!

Wie, że świat boży to radość,
Choć czasem w łzach się zaczyna,
Lecz wszystkim łzom czyni zadość
Wszechmocna — miłość matczyna.

RADOŚĆ

Siasia dzisiaj się zbudziła wesoło,
Że, dla Boga Świętego!
Tańczyłaby! Tańczyłaby dokoła!
Nóżki same jej biega.

Każdy owoc z liści mówi: a kuku.
Pliszka skacze na dróżce,
A makówki śmieją się do rozpuku,
Kręcąc na jednej nóżce.

Patrzcie, ludzie! Pies pogodził się z kotem:
Kot mruczy, pies się łąsi.
A sam groźny indor, złośnik, nicpotem,
Idzie jeść z ręki Siasi!

SMUTEK

Główka Siasi smutnie dziś się pochyla,
Ciężki smutek na serduszko jej padł:
Kury przy niej zadziobały motyla,
Co ulatał kolorowy jak kwiat.

Ciężar jabłek złamał gałąź jabłoni,
Biały gwoździk w błocie na ścieżce legł.
Chmury idą. Lato wkoło się ploni,
A jej zda się, że upadnie z nich śnieg.

Same smutki Siasia dzisiaj pamięta,
Jak odgonić nadchodzące wciąż lzy?
Wie już! Pójdzie karmić ślepe kocięta,
Którym matkę zdusiły złe psy.

Do rozpuku śmiały się ze mnie
Wszystkie igły w sosnowym szumie,
Że wciąż myślę i myślę daremnie,
Co napisać Hani w albumie.

Wszystkie ptaki podpowiadały
Pod Radością i pod Miłosną,
Lecz sens dla mnie zgubił się cały,
Bo się świerszcze śmiały zbyt głośno.

Aż lis jeden najmędrzy w lesie
Najdokładniej wypisał mi to,
Ale znów sens w całym okresie
Niebacznie zatarł kitą.

Na pustym zakręcie drogi,
Gdzie brzoza czesze warkocz w blasku,
Gdzie różowo śmieją się głogi,
Widać jeszcze znaki na piasku.

Długo studjowałam daremnie
Tę lisią kaligrafię,
A Anin cały wysmiewa się ze mnie,
Że czytać nie potrafię.

Tam ten wiersz mój «do wpisania»
W piasku, w brzozie, w glogach rozkwita.
Niech tam kiedy pobiegnie Hania,
Może sama lepiej przeczyta.

Tam też wiesz mój do wpięcia
W piasek, w brzoze, w głębiach rozkwita.
Niech tam kiedy pobiegnie łania,
Może szum lepiej przeczyszcza.

Po strzyżonym grabowym szpalerze
Chodzę, deptąc obcięte gałęzie.
Kwiaty świeże — nie wierzę — rany świeże.
Nożyce, pomiary, uwięzie.
Chyba wylot dalekiego błękitu,
Wylot nagły, nikły, daleki.
Na nim modrość wczesnego świtu,
Żar południa, gwiazd złote ćwieki.
Nic, tylko to okno i te ściany
Żywe, broczące, współczujące.
Niema kwiatów — są tylko świeże rany:
Nie urażę, nie dotknę, nie potrączę...

Nieważne, żal mi Jitki.

Na gustym zakręcie drogi.

Odnosi brzoza czołoczek w błasku.

Odnosi różowa, kładąc się głogi.

Widac jeszcze znaki na piasku.

Olga, młodpawianin dziesięć.

To lista kaligrafii.

A Ania cały wyznawca się w miale.

Zo czołoczek nie potrąca.

Niel nie napiszę sonetu.

Ale narwę w ogrodzie astrów białych,
promienistych, lekkich komet o złotem oku,
i gałęzi białodrzewu o białym aksamicie skóry na
smutnych liściach,
i welonów gipsówki drżących jak srebrna mgła —
i włożę to w wysoki rznęty kryształ na wnętrzu
ciemnych drzwi,
by się zapatrzeć jak w strzęp gwiazdzistej drogi mlecznej
przesianej lotem bladych anielskich piór...

A może

w mosiężny wielki pocisk włożę
złote kule afrykanek,
brązowe tarcze słoneczników,
i wysokie promieniste dzidy blado złotych malw,
i postawię w słońcu na złotej makacie
i będę się głośno śmiać...

Albo jeszcze—grona czerwonych jarzębin bardzo ciężkie
złączę z kłosami złotej pszenicy i bladego żyta,
a potem zaś orzechy leszczynowe wyluskam i będę
siać przez palce
długo, długo, długo...

Niel nie napiszę sonetu.

Czasem, kiedy obwożę tramwajem
Moją pustkę powszedniego dnia,
Zobaczę nagle oczy, ludzkie oczy
Smutne i mądre — bez dna.

Zobaczę nagle ust zagięcie bolesne,
Załamanie spracowanych rąk,
Bezwład ciężki, jak szaruga jesienna,
Uśmiech dobry, jak wiosenny pąk.

I coś nagle się zrodzi, coś błysnie,
Coś zapiekłą pustką użyźni, —
I głaz martwy z piersi się stoczy
W żywym westchnieniu — mój bliźni!

Nad czarną wodą latarnie,
Złote smugi.

Daj mi przeżyć, daj mi przeżyć, Panie,
Ten wieczór długi.

Taki długi wieczór, takie złote smugi,
W sercu coraz to ciszej...

W czarnych wodach,
Na złotych, głębokich wschodach
Życie się moje kołysze —

I

Pod czarną hostją latarni ulicznej, we mgle,
Krążą dziewczęta o jaskrawo umalowanych twarzach,
Jak szare ćmy, ośleple, umalowane i złe.
Tłuką się po ciemnych korytarzach,
Pośrodku ślepych murów, pod szeregiem posępnych
latarni.

Na szarym chodniku ich cienie,
Olbrzymie, wydłużone, połamane światłem latarni,
Dłużą się nieskończenie
Coraz to rozpaczliwiej, posępniej i czarniej,
Jak wielkie larwy misterjów tajemnych,
Olbrzymiej Piety mroków —
Czarne nimby latarni, cichy zaułek ciemny,
Echo samotnych kroków...

II

Czarne nimby latarni, ślepy zaułek ciemny,
Echo samotnych kroków.
Na asfalcie cień długi, załamany, tajemny,
Żalobna Pietà mroków.

To dziewczyna uliczna, pod latarni płomieniem
Pytająco się zniża
Do śpiącego pijaka, co zwisł z ławki ramieniem,
Niby z ramienia krzyża.

Wielką prawdę miłości nienawistnie mu kłamie
W czarnym nimbie latarni,
A ich cień na asfalcie wydłuża się i łamie
Wciąż posępniej i czarniej.

Olbrzymieje wciąż straszniej stadło ich tajemnicze,
Załamuje i słania
Wszechobecnej miłości wykrzywione oblicze
W gorzkiej pustce konania.

Traktory — reproduktory,
Motory — akumulatory...
Paulino, Paulino, Paulino,
Nie męcz mnie — jestem chory.

Srebrne wierzby, srebrne chmury,
Srebrna woda, srebrne nury...
Paulino, Paulino, Paulino,
Już dosyć mam kultury.

Chcę się pokłonić w łódce
Mięcie i niezabudce...
Paulino, Paulino, Paulino,
Czy młyn puszczają wkrótce?

Kiedy maszyna zaszczeka,
A zwierzęta zaczną filozofować,
Cóż pozostanie dla człowieka?
Paulino, mądrze to wyprowadź!

Otwórz ludziom wielkie widnokregi
W twojej wszytkoburczej przyszłości,
Bo jak nie, to będą z nich niedołęgi,
Podobne — do twoich gości.

Ach, te wrony na kępie!
Czy też ja je wytępię,
Czy nagle pożałuję
I precz stąd powędruję?

Biją w skrzydła i kraczą —
Czego one tak płaczą,
Czego mkną w wiatru stronę
Jak te liście spalone?

Stare dęby i woda —
Szkoda mi, czy nie szkoda? —
Nie wiem—strach tylko zbiera,
Co na kępie umiera?

Dokąd uciec od zmory kraczących wron,
Od szarości wieczornych na niebie smug,
Od martwych luster stawu, od ciętych dróg,
Od komina fabryki złego jak szpon?

Chyba pod te kopce blade jak miód,
Z twarzą w niebo zwróconą w milczeniu lec,
I czekać białej pełni i serca strzec,
By nie pękło jak ciężki, jątrzący wrzód...

Eleganckie urocze cacko,
Zbędny mebel naszej poezji —
O sięgnij poń garścią świętokradzką,
O krzyknij: «zczęźnij!»

I powiedz poprostu: «tak chcę» i powiedz: «żyję»
I powiedz: «walczę i trwam» —
Słowa wiecznie te same, a twoje tylko, nie czyje,
Bo w nich tobie życie a śmierć.

Opowiedz to co jest, nie zabij słowem,
By przetrwało formy twardej chrzest —
Lecz czyś Ty jest? Wiem: jak struś w piasku kryję głowę;
Wiem, wiem, wiem: mnie niema, a Tyś jest.

Gubić duszę na zakurzonych drogach
Wydeptanych naprzód i wstecz;
Gubić i zapominać w zmęczeniach i trwogach —
To nasza, ludzka rzecz.

Oddawać nam zgubę naszą w każdym wiatru szeleście,
W każdej kropli co w słońcu drży;
Zewsząd zsyłać jak rosę — tylko weźcie już, weźcie —
To, Panie, Ty — to Ty.

Błękit? Nie błękit, a chrzest;
Obłoki? Nie! — modlitwy złote.
O, Ty jeden coś jest, który jest,
Racz przemienić moją tęsknotę.

Racz przemienić moją wielką tęsknotę
Jak błękit w kąpiący chrzest,
Jak obłoki w modlitwy złote,—
O, Ty jeden coś jest, który jest!

Nie pracuję, o Pani! a przeciwnie strudzona.
Nie dźwigam snopa kłosów ani wody dzbanka.
Ani ja Ruth kłosiarka, ni Samarytanka —
Jakoż Ty ku mnie, Panie, wyciągniesz ramiona?

A w ogrójcu, gdzie pusta czernieje mogiła,
Gdy o jutrzni Cię spotkam, świętego przechodnia, —
Jak odpuścisz mi winy, które spełniam codnia,
Gdy nie mam winowajców, bym im odpuściła?

nie przycię, o Panu a przycię stryżona.
Nie dziwiam się, klasow ani woty uczanka.
Aim ja Ruch klaszka, ni Zami, janka —
Jako Ty kołmicy, jak wydzigniesz ramiona!

A w gródzie, gdzie pnia czerwiek nogła.
Gdy o jomni Cie spozka, białego przehodnia.
Jak odpuścić mi wina, które spucham coby.
Gdy nie mam wstawajów, tym nie odpuścić!

PRZYPIŚY

PIERŚCIEŃ ŻYCIA

Podług notatki Autorki zbiór ten powstał pomiędzy 10 a 25 lipca 1918 r. Włączono do niego jednak pięć utworów, które już były przedtem drukowane w tomie poezyj *Z Raptularza*, wydanym w Charkowie w r. 1917 (por. tom III niniejszego wydania, *Przypisy*, str. 163). Wymieniamy je niżej szczegółowo. W druku zbiór ukazał się w początkach r. 1919 w tomiku p. t. **BRONISŁAWA OSTROWSKA. PIERŚCIEŃ ŻYCIA**. Warszawa. Nakładem *Kasy Przechodności i Pomocy Warszawskich Pomocników Księgarskich*. Składy główne: Warszawa—*Gebethner i Wolff*. Kraków—*G. Gebethner i Spółka*. Poznań—*M. Niemierkiewicz*. Str. 88.

Str. 5. *Wychodzę w pole*.—Utwór ten pierwotnie drukowany był w zbiorze *Z Raptularza*, gdzie nosił tytuł *Przedwiośnie*. Wiersz 2 na str. 7 w pierwszym wydaniu brzmiał: *Niby drżące serduszka dziecięce*.

Str. 12. *W wiosenne alleluje*.—Utwór drukowany pierwotnie w zbiorze *Z Raptularza* p. t. *Odkupienie*. 5-ci jego wiersz miał w pierwszym wydaniu następujące brzmienie: *I czarność skib całuje*.

Str. 38. Ciche szczęście; str. 40. O, skwitnijcie, czarne krzyże; str. 41. Ten sam kwiatowy sen. — Trzy te utwory drukowane były (z drobnymi zmianami) po raz pierwszy w zbiorze Z Rapularza, gdzie wchodziły do cyklu Strofy (por. w wydaniu niniejszem tom III, str. 114, 109 i 110).

Str. 65. Gdy się kształt z nas osypie. — W utworze tym wiersze 3 i 5 w pierwodruku miały brzmienie:

Was chcę pierwszych obaczyć, mojej łodzi sternicy —

Was chcę pierwszych obaczyć, wchodząc w próg tajemnicy.

Zmianę (obaczyć na powitać) wprowadzono na podstawie przygotowywanego przez Autorkę rękopisu II wydania Pierścienia życia.

UZUPEŁNIENIE

Str. 89—114. — W r. 1922 Autorka przygotowywała II wydanie Pierścienia życia, które miało się ukazać (przypuszczalnie) pod zmienionym tytułem Modlitewnik Marji Izydy. Do nowego wydania Autorka zamierzała włączyć 25 utworów, które były napisane przed I wydaniem Pierścienia życia, ale do wydania tego nie weszły (jeden z nich — Miłości moja wierna. — str. 114 — usunięty był dopiero w korekcie, jak o tem świadczy zachowana odbitka). Pozatem w nowem wydaniu miał być zmie-

niony układ porządkowy dawnych utworów. Praca nad nowem wydaniem nie została jednak doprowadzona do końca i wskazówki co do układu podług nowej kompozycji, obejmującej utwory drukowane w I wydaniu i utwory teraz dopiero włączane, nie są na tyle wyraźne, żeby można było z całkowitą pewnością odtworzyć zamiar Autorki. Wobec tego Pierścień życia pozostawiliśmy w kształcie z r. 1919, a utwory nowe dajemy jako Uzupełnienie — w układzie, który podług wskazówek autografu wydał się najprawdopodobniejszy. Wszystkie utwory tego Uzupełnienia — z wyjątkiem wiersza Krwi krople.. (str. 111), który był drukowany w Wiadomościach Literackich, nr. 238 z r. 1928 — ukazują się tu po raz pierwszy.

TARTAK SŁONECZNY i KOŁO ŚWIĘCONEJ KREDY

Obydwa te poematy powstały na przełomie lat 1922—1923. Za życia Autorki ukazał się w druku tylko fragment pierwszy Koła (por. str. 151—153) w Wiadomościach Literackich, nr. 114 z 7 marca 1926. W całości poematy ukazały się w pośmiertnym zbiorku TARTAK SŁONECZNY. Warszawa — 1928. Nakładem Księgarni F. Hoessicka. Tekst poematów w tym zbiorku opierał się na odpisie maszynowym, nieuporządkowanym i niesprawdzonym przez Autorkę; autograf wówczas nie był do-

stępny; stąd poszczególne części poematów ukazały się w niewłaściwej kolejności i pod nieautentycznymi tytułami, a w tekście znalazło się sporo omyłek, wynikłych ze złego odczytania rękopisu. W wydaniu niniejszem obydwie poematy ukazują się po raz pierwszy na podstawie autografu, we właściwej kolejności rozdziałów i z poprawieniem wszystkich omyłek tekstowych. W tym kształcie mogą być uważane za utwory całkiem nowe. — W autografie Koła święconej kredy znajduje się, poza tekstem głównym, kilka warjantów lub fragmentów niewykończonych. Podajemy je tytułem uzupełnienia (urywki 1 — 12 były już drukowane w tomiku Tartak słoneczny z r. 1928; urywek 13 ukazuje się tutaj po raz pierwszy).

1

Opisałam wkrąg siebie koło święconą kredą,
kredą z pod kłosa serwantki babcinej,
nieprzekraczalne, nieodwołalne, niezawodne, jak śmierć.

2

Jestem jak nurek na dnie otchłani oceanu
kłębiącej się od mroźnych, olbrzymich, niemych sił,
oddzielonych li niktą, niewidzialną ścianką,
kolem święconej kredy — dzwonem nurka.

3

Jestem w zaklętym kole z elektrycznymi świecami,
z fabryczną Męką Pańską nad kaloryferem,

siedzę na wyplatanem krzeselku, pod ścianą zdobną
w przykazania:

Nie pluć. Nie żebrać. I strzec się złodziei.
Strzec się złodziei...

Amen. Amen. Amen.

4

Umówmy się, że tak jest! Umówmy się, że tak jest!
Wszystko przecie można zastąpić, na wszystko się
znajdzie namiastka.

I tylko nie powiedzmy nigdy nikomu — pamiętajcie —
nigdy,

że — niema rzeczywistości.

Cicho... Więc cóż?

Z koła święconej kredy, jak z pod klosza
wypompowano powietrze prawdy
i rzeczywistość — umarła.

Więc cóż?!

5

Wy nikomu nigdy nie powiecie,
nie powiecie nikomu ani wy, ani ja,
że nas pustka dusi za gardła,
że z koła świętej kredy, jak z pod klosza ze szkła
wytłoczono powietrze do dna, do dna, do dna —
i rzeczywistość umarła...

6

Czemu jedno wspomnienie jak nóż tę pustkę przewierca,
jak ciśnięty nóż bez litości...

Przed szybą sklepu z tandetą kościelną,
przed szeregiem brzydkich Chrystusów o malowanych
na czerwono sercach
stara chłopka ukłękła na błocie ulicy
i uderza się w piersi z prawdą nieśmiertelną:
«O — Boże, bądź miłościw! Boże, bądź miłościw
mnie — grzesznicy!»

7

Cień olbrzymiej pokory na koło kredy pada
i wstrząsa niem, jak młot uderzający w stal,
jakaś, potężna prawda w ciemności się spowiada,
wchłonięta przez potężną, nieznaną, żywą dal.
U jakiejś prawdy przedwiecznego proga
— wtłoczone w ziemię kolana,
bary, jak Krzysztofowe, zdolne podźwignąć Boga,
wstrząsaną szlochem piersi bije pięść spracowana.

8

Czemu stoi mi w oczach przed szybą sklepu z tandetą
kościelną,
przed szeregiem brzydkich Chrystusów o malowanych
na czerwono sercach,
stara chłopka, klęcząca na błocie ulicznym
i bijąca się w piersi ruchem nieodpartej prawdy:
«Boże, bądź miłościw... Boże, bądź miłościw!»

9

Pod czarną hostją latarni ulicznej we mgle
krążą dziewczęta o jaskrawo umalowanych twarzach,

Śmieją się, kaszlą i zaczepiają pijanego przechodnia,
zachwalając mu towar miłości, nagą, skłamaną prawdę.
Na szarym chodniku ich cienie
olbrzymie, wydłużone, połamane światłem latarni,
tworzą posępne larwy groźnego misterjum,
potężną Pietę mroków.

10

Pijak rzucił laską w latarnię — posypało się szkło — ...
Cienie wsiąknęły w mrok — ktoś splunął i zaklął.
A pod nogami zgrzyt — zgrzyt szkła o kredę święconą,
chrześciliwy, niezapomniany.

11

To było już... Podwórzec niezliczonych baniek
z przepalonego szkła,
tęczujących jak bańki mydlane,
Ogród szklany w kwadracie czerwonych fabrycznych
ścian,
a pod krokami chrzęst, a pod krokami zgrzyt,
a w górze błękit i słońce.
Zwiedzałam hutę szklaną z panem dyrektorem:
nagie torsy na czerwonym palenisku rozżartych pieców
i w łunach — dzieci. Pamiętam na ich oczach to samo
szkliwo blasku,
co na kruchych bańkach przepalonego szkła.
«Nic nie zastąpi w szklarstwie pracy dzieci.»
Stąpaliśmy po drobnych, skaczących, rozedrganych
cieniach,
które nam się płaszczyły u nóg.

215

Dostałam szklaną laskę i galnę przycisku,
co leży w kole kredy na książce do nabożeństwa...

...Zgrzytliwe szkiełka pamięci...

Na książce do nabożeństwa, którą trzymałam w rękę,
kiedy dzwonek kościelny zanoślił się jak koklusz
i szeplecił i drwił...

12

Na asfalcie chodnika siedzi rakowaty ślepiec
i dzwoni małym dzwonkiem na litość przechodniów.
Natrętny, nieustępliwy brzęk metalowego serduszka
w łoskocie kół, świstie syren i gwarze ulicznym
zanoił się jak koklusz dziecinny i szeplecił jak niemowa
i drwi.

A poprzez wielkie sale, przez widne korytarze
szedł siwy kapłan w komży, z krzyżem w rękę
święcić olbrzymią fabrykę gazów trujących...

Szedł i błogosławił ludzi schylonych w zbożnym trudzie
nad śmiercią brata:

«W Imię Ojca i Syna i Ducha świętego. Amen.»

W skupionem świetle sunął przed nim ogromny jego
cień
na cały gmach, na cały tłum, na cały świat pobożowski,—
cień straszliwy, podobny idącej mogile.

13

Koło święconej kredy ugina się i drży
jak szyby okien, gdy ulicą jedzie wóz motorowy;
czuję jego dreszcz zimny dokoła mojej piersi —
bliski, niezawodny jak śmierć.

*Linja kręgu jaluje, jak pełzający wąż,
jak zgłodniały dusiciel, wciąż zacieśniającym się
skrzytłem.*

*Pod naciskiem zewnętrznych fal,
tych co plwają, tych co zebrzą, tych co kradną,
drżąca cofa się w siebie i wgniata w moją pierś
fabryczną Mękę Pańską i tablice przykazań —
dławi, zaciska splot,
jakgdyby koło chciało stać się swoim własnym centrem,
punktem — nierzeczywistym, niewymiernym,
umówionym znakiem —
mojem sercem!...*

WIERSZE OSTATNIE

Utwory zawarte w niniejszym dziale powstawały w latach 1918—1925. Pewna ich część była drukowana po czasopiśmie lub ukazała się w pośmiertnym zbiorku Tartak słoneczny z r. 1928. Większość ukazuje się tutaj po raz pierwszy i opiera się na autografach. Utwory już drukowane zostały również sprawdzone z autografami, co niejednokrotnie pozwoliło sprostować pomyłki tekstowe pierwodruków. Poniżej podajemy szczegółowe dane bibliograficzne i kilka uzupełnień różnego rodzaju (zbiorek Tartak słoneczny z r. 1928 cytujemy w skrócie jako T. S.).

Str. 145. Czemu ty się śmiejesz, niebo. — Drukowane po raz pierwszy w T. S.

Str. 147. Siewna. — Drukowane po raz pierwszy w Tygodniku Ilustrowanym z 16 lutego 1924. Wiersz 7 brzmiał tam: Dłużą się brzoźdy złotych promieniających smug.

Str. 148. Nie nakochało się lato. — Ukazuje się po raz pierwszy.

Str. 149. Pogoda. — Drukowane w T. S.

Str. 150. Ziarno. — Drukowane w T. S.

Str. 152. Czego wy pilnujecie. — Ukazuje się po raz pierwszy.

Str. 153. Pod wiecznej rytm muzyki. — Ukazuje się po raz pierwszy.

Str. 154. Płyną biali obłokowie. — Ukazuje się po raz pierwszy.

Str. 155. Nów złoty. — Drukowane w tygodniku Pani w r. 1923.

Str. 156. Cicho, słonecznie. — Ukazuje się po raz pierwszy.

Str. 157. W bladym żarze. — Ukazuje się po raz pierwszy.

Str. 158. Kosaćców ostry miecz. — Ukazuje się po raz pierwszy.

Str. 159. Snobom. — Drukowane po raz pierwszy w Tygodniku Ilustrowanym w r. 1924; przedrukowane w T. S. pod tytułem Wakacje.

Str. 160. W gruz się wałą. — Wiersz napisany w r. 1924; ukazuje się po raz pierwszy.

Str. 161. Z jednej strony rzeki. — Ukazuje się po raz pierwszy. Wiersz zachował się również w następującej odmiennej redakcji:

Z jednej strony rzeki jest sad i dom,
Z drugiej kościół, cmentarz i miasteczko —

A po rzece cicho płynie prom
Z przywiązaną łódeczką.

Długi błysk kiedy się zjeżdża od brzegu
I wielka pluskająca płaszczyzna fal.

Konie stoją cicho w szeregu,
Przewoźnicy wołają, obłoki płyną w dal —

Str. 162. Prom. — Drukowane po raz pierwszy w Wiadomościach Literackich, nr. 258 z 22 lipca 1928. Wiersz 16 posiada w autografie następujący warjant:

Na nienazwanych wodach w nieznannej drodze trwa.

Str. 164 — 165. Biała godzina. — Drukowane w Tygodniku Ilustrowanym w r. 1924; wiersz II, 5 brzmiał tam: Świerszcze strzygą tak głośno, — mój Boże. — Przedrukowane w T. S.

Str. 166. A jeżeli ja ciebie. — Drukowane w T. S. pod (nieautentycznym) tytułem Rozgrzeszenie.

Str. 167. Jesień. — Drukowane w T. S.

Str. 168. Taka sama pogoda jesienna. — Drukowane w T. S. pod (nieautentycznym) tytułem Wspominki.

Str. 169. Na gałązce pod listkami. — Drukowane w tygodniku Bluszcz, nr. 20 z r. 1929.

Str. 170. Okwit. — Drukowane w Bluszczu, nr. 20 z r. 1929.

Str. 171. Wiosna tka radośnie. — Ukazuje się po raz pierwszy.

Str. 172. Czeremchy mokre. — Drukowane w Bluszczu, nr. 20 z r. 1929.

Str. 175—175. Wiosna.—Część I i II drukowana w Bluszczu, nr. 23 z r. 1929; część III w T. S.

Str. 176. Włożyli wiosnie welon.— Ukazuje się po raz pierwszy.

Str. 177. Przedwiośnie. — Drukowane w tygodniku Pani w r. 1925. Przedrukowane w T. S. pod (nieautentycznym) tytułem Przedwiośnie i dziewczynka.

Str. 178. Gdyby nie to.— Ukazuje się po raz pierwszy.

Str. 179 — 180. W karnecie balowym. — Ukazuje się po raz pierwszy.

Str. 181. Zsunięte z palców pierścienie. — Drukowane w T. S. pod (nieautentycznym) tytułem Lato.

Str. 185 — 186. Cztery te liryki (drukowane tu po raz pierwszy) pochodzą najprawdopodobniej z wcześniejszego okresu (1908—1914) i w wydaniu niniejszem powinny były być umieszczone w tomie II; autografy ich odnalazły się dopiero w czasie druku tomu IV. Do tej samej grupy należy jeszcze wiersz, który tutaj przytaczamy tytułem uzupełnienia:

Z buków jesienią płomiennych
Padają, padają liście,
 Jak krople krwi.
Sen swoich nocy bezsennych.
Najmiłościwsze twe przyjście
 Dusza ma śni.

Rybacze żagle w zatoce,
Jak ptaków powrotnych rzesza,
 Do brzegu mkną.
Serce, co pierś mi druzgoce,
Na każdym żaglu zawiesza
 Nadzieję swą.

O przyjdź, nim zgaśnie w błękicie
Żar buków krwawych na niebie
 I żagli rój!
O przyjdź! Co nam śmierć, co nam życie:
Kocham ciebie — przyjdź! Kocham ciebie,
 Jedyny mój...

Str. 187—189. Siasia. Radość. Smutek. —
Drukowane w tygodniku *W słońcu* w r. 1919.

Str. 190—193. Trzy utwory drukowane w wy-
daniu niniejszem po raz pierwszy.

Str. 194. Czasem, kiedy obwożę. — Druko-
wane w T. S. pod (nieautentycznym) tytułem *Bliźni*.

Str. 195—204. Dziesięć utworów drukowanych
w wydaniu niniejszem po raz pierwszy.

Str. 205. Nie pracuję, o Panie. — Drukowa-
ne w *Wiadomościach Literackich*, nr. 238 z 22

lipca 1928 r. Wiersz ten drukowany był również
w T. S. pod (nieautentycznym) tytułem Wielkanoc,
w następującej (odmiennej i dłuższej) redakcji:

*Nie pracuję, o Panie, a przeciw strudzona!
Nie dzwigam snopa kłosów, ani wody dzbanka;
Anim ja Ruth kłosiarka, ni Samarytanka —
Jakoż Ty ku mnie, Panie, wyciągniesz ramiona?*

*I jakoż — gdy Cię zwróci skruszona mogiła,
Kiedy już Ciebie spotykam, Świętego Przechodnia,
Jak odpuścisz mi winy, które spełniam codnia,
Gdy nie mam winowajców, bym im odpuściła?*

*Oto w mego żywota wszelakiej pokusie
Człowiekiem tylko jestem, człowiekiem i błotem,
Lecz Ty, Ty jeden dobry, Ty jeden wiesz o tem...
Usłysz! Odpuść! Wyratuj! Jezusie-Chrystusie —*

SPIS RZECZY

PIERŚCIENŃ ŻYCIA

	Str.
I Wychodzę w pole z psem....	5
II Magdaleno, ciszo polna....	11
W wiosenne alleluje...	12
Świerszczyki polne trzęsą mak...	15
Taneczny gaj brzożowy....	14
Skosztuj tych czarnych ożyn....	15
Ktoś cicho płacze nad lasem....	16
Wilgotny smutek wieczoru....	17
Czyś kiedy szedł....	18
Maryi Zielnej zbożna kaplica....	20
Mądrości złotych niw....	21
III Pociąg pędzi... O, jak tańczą sosny...	25
Jeden wielki opal nieboskłonu....	26
Świat w złotym słońca skwarze....	27
Baldachim z winogradów....	28
O, jakoweż postowie	29
Różowe smugi zachodu....	30
Dostojna jesień kończy swój dzień....	31
Co wy wiecie, co wy wiecie, drzewa....	32
Śnieg pierwszy czysty, czysty....	33
Dzięki Tobie, żeś ukazał mi życie....	34

IV	Nietylko ptak, nietylko kwiat...	37
	Ciche szczęście, najlepsze na ziemi... . . .	38
	Na zburzonym w gruz rynku miasteczka... .	39
	O, skwitnijcie, czarne krzyże cmentarne... .	40
	Ten sam kwiatowy sen...	41
	Dwie zadumane płaczące brzozy...	42
	Stoi nad Polską w piorunowej chmurze.... .	45
	Zmartwychwstały w sobie nosi cud siły... . .	44
	Cześć tym, co rwali kajdany łańcucha... . .	45
	Duch Polski u skraju mogiły...	46
V	Gwiazdy, broczące krwią nad męką ducha... .	49
	Nie wysiłek zniszczenia, nie orkan zatrąty... .	50
	Choćby zniszczyła ziemię fala krwi i stali... .	51
	Bracie mój, pochylony nad tryby maszyny... .	52
	W świeżem drzewie ciosana, świeżą słomą strzeszna...	55
	W pracy siewcy, oracza i żeńca...	54
	Okienka chat się palą czerwienią jak ogniska... .	55
	Oczom, które wiele płakały...	56
VI	Stworzyć dzieło tak pełne harmonji, jak róża...	59
	Sława, — żalnice kryształowe...	60
	Wiecznie-ż nizać lez krwawych różańce... . .	61
	Ekstatyczne żab i świerszczów chóry... . . .	62
	Któryś wlał w ranek życia taki wdzięk radosny...	65
	Kto ukazał mi suchą trumienkę kokona... . .	64
	Gdy się kształt z nas osypie, jak owoce dojrzałe...	65

	Str
<i>Choć sen nie wie nic o przebudzeniu...</i>	66
<i>O, kurowie Piotrowi! O, zaprzeczyście...</i>	67
<i>Sprawiedliwość to nie miecz, co uderza...</i>	68
<i>Głos, który gromem zmącił ciszę...</i>	69
<i>Modliłam się o piorun modlitwą rozpaczy...</i>	70
<i>W wszystkich drzewach rośnie Drzewo</i>	
<i>Żywota...</i>	71
<i>Czasem w ludziach duch skrył się, jako</i>	
<i>źródło w skale...</i>	72
<i>Płaczą ludy, nieskończenie płaczą...</i>	73
<i>O, święty płomieniu Znicza...</i>	74
<i>O, nie płaczcie, oczy moje, nie płaczcie...</i>	75
<i>Tajń, którą szepce kłóśny łan...</i>	76
VII <i>Do Ciebie się modłę, do Ciebie...</i>	79
<i>Z jakich mroków wywiodeś mię, Panie...</i>	80
<i>Dobra służebna Śmierć...</i>	81
<i>Na oboieczny krzywdy miecz...</i>	82
<i>Jak dziecko mię wiedziesz za rękę...</i>	83
<i>Pięknego kłamstwa mową kłamną...</i>	84
<i>Na usta moje Pan położył słowo...</i>	85

UZUPEŁNIENIE

<i>Marji Izydy gwiazdzisty kwef...</i>	89
<i>Strzeż się, duszo moja....</i>	90
<i>Ziemia śni wiecznie utracony raj...</i>	91
<i>Niewyczerpanie, niestrudzenie...</i>	92
<i>W wieczornych dzwonach polami szły...</i>	94
<i>Nieznani bracia moi...</i>	95

	Str.
<i>Z żywiołu wody, z głębin milczenia...</i>	96
<i>Jako lew w mroku...</i>	97
<i>Na kłósnym łanie wiatru wianie...</i>	98
<i>O, jakże jasne są lotne chmurki Boże...</i>	99
<i>Ślimaczku ducha...</i>	100
<i>Mroczna otchłań ludzkiego cierpienia...</i>	101
<i>Krzywda rani jeno krzywdziciela...</i>	102
<i>Oświeć mnie, czyli kląć mam...</i>	103
<i>Co to jest sen...</i>	104
<i>Płomień na niebie się pali...</i>	105
<i>Miłość moja — pożarna ślepota...</i>	106
<i>Moje wczoraj ukąpane krwią...</i>	107
<i>Serdeczne rozrzewnienie...</i>	108
<i>Głęboki błękit, obłok biały...</i>	109
<i>Ja jestem, wy jesteście...</i>	110
<i>Krwi krople, które uronił Bóg...</i>	111
<i>Pokłony zbożnych niw...</i>	112
<i>Zdobyc się na pokorę...</i>	113
<i>Miłości moja wierna...</i>	114

TARTAK SŁONECZNY

<i>Czarny bór...</i>	117
<i>Zatrzymali się na horyzoncie...</i>	120
<i>Las w śniegu...</i>	123

KOŁO ŚWIĘCONEJ KREDY

<i>Opisane wkoło mnie koło...</i>	131
<i>Więc spotykamy się wszyscy...</i>	134
<i>Idą, idą szeregiem...</i>	138

WIERSZE OSTATNIE

	Str.
<i>Czemu ty się śmiejesz, niebo, niebo...</i>	145
<i>Siewna.</i>	147
<i>Nie nakochało się lato...</i>	148
<i>Pogoda.</i>	149
<i>Ziarno.</i>	150
<i>Czego wy pilnujecie, smukłe malwy różowe...</i>	152
<i>Pod wiecznej rytm muzyki...</i>	153
<i>Płyną biali obłokowie...</i>	154
<i>Nów złoty, rzucony w niebie...</i>	155
<i>Cicho, słonecznie, puszyście...</i>	156
<i>W bladym żarze...</i>	157
<i>Kosaćców ostry miecz...</i>	158
<i>Snobom.</i>	159
<i>W gruz się wałą dostojne mury Kazimierza...</i>	160
<i>Z jednej strony rzeki...</i>	161
<i>Prom.</i>	162
<i>Biała godzina.</i>	164
<i>A jeżeli ja ciebie, jedyny...</i>	166
<i>Jesień.</i>	167
<i>Taka sama pogoda jesienna...</i>	168
<i>Na gałęzce pod listkami...</i>	169
<i>Okwit.</i>	170
<i>Wiosna tka radośnie zielony gobelin...</i>	171
<i>Czeremchy mokre, kasztanów lepkie listki...</i>	172
<i>Wiosna.</i>	173
<i>Włożyli wiosnie welon...</i>	176
<i>Przedwiosnie.</i>	177
<i>Gdyby nie to, że jest roześmianą dziewczyną...</i>	178

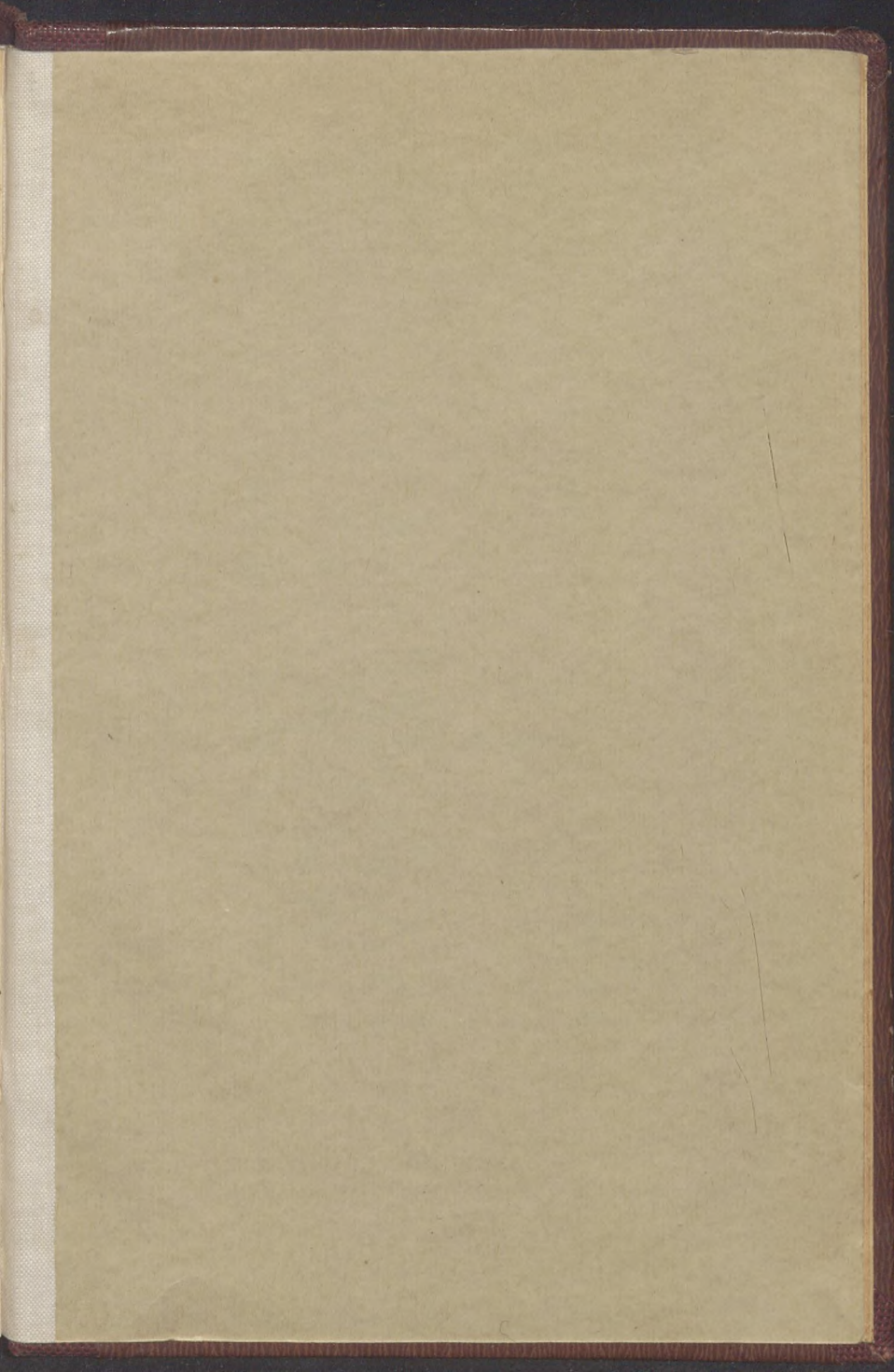
	Str.
<i>W karnecie balowym.</i>	179
<i>Zsunięte z palców pierścienie...</i>	181
<i>Nie mogę sobie dać rady...</i>	185
<i>A więc się nigdy, nigdy nie zgoi...</i>	184
<i>Na ranę serca śnieg pada...</i>	184
<i>Ni ich żegnać łzę gorącą...</i>	185
<i>Śmierć rozpląsana w białych śnieżynkach...</i>	186
<i>Siasia.</i>	187
<i>Radość:</i>	188
<i>Smutek.</i>	189
<i>Do rozpuku śmiały się ze mnie...</i>	190
<i>Po strzyżonym grabowym szpalerze...</i>	192
<i>Nie! nie napiszę sonetu...</i>	193
<i>Czasem, kiedy obwożę tramwajem...</i>	194
<i>Nad czarną wodą latarnie...</i>	195
<i>Pod czarną hostją latarni ulicznej...</i>	196
<i>Traktory — reproduktory...</i>	198
<i>Kiedy maszyna zaszczecka...</i>	199
<i>Ach, te wrony na kępie...</i>	200
<i>Dokąd uciec od zmory kraczących wron...</i>	201
<i>Eleganckie, urocze cacko...</i>	202
<i>Gubić duszę na zakurzonych drogach...</i>	203
<i>Błękit? Nie błękit, a chrzest...</i>	204
<i>Nie pracuję, o Panie, a przeciwnie strudzona...</i>	205
 PRZYPISY	 207

WYDAWNICTWA J. MORTKOWICZA

Z cyklu *Pod znakiem Poetów*

ostatnio ukazały się utwory:

	Zł.
<i>Iwaszkiewicz Jarosław — LATO 1932</i>	2.—
<i>Jasnorzewska - Pawlikowska Marja — ŚPIĄCA ZAŁOGA</i>	w opr. 5.— —
<i>Liebert Jerzy — KOŁYSANKA JODŁOWA</i>	3.—
	w opr. 6.—
<i>Oppman Artur — PIEŚŃ O RYNKU I ZAUŁKACH</i>	2.—
	w opr. 5.—
<i>Staff Leopold — WYSOKIE DRZEWA</i>	4.—
	w opr. 7.—
<i>Tuwim Juljan — BIBLJA CYGAŃSKA</i>	3.50
	w opr. 6.50
<i>Wierzyński Kazimierz — GORZKI URODZAJ</i>	—
<hr/>	
<i>Szemplińska Elżbieta — WIERSZE</i>	3.—



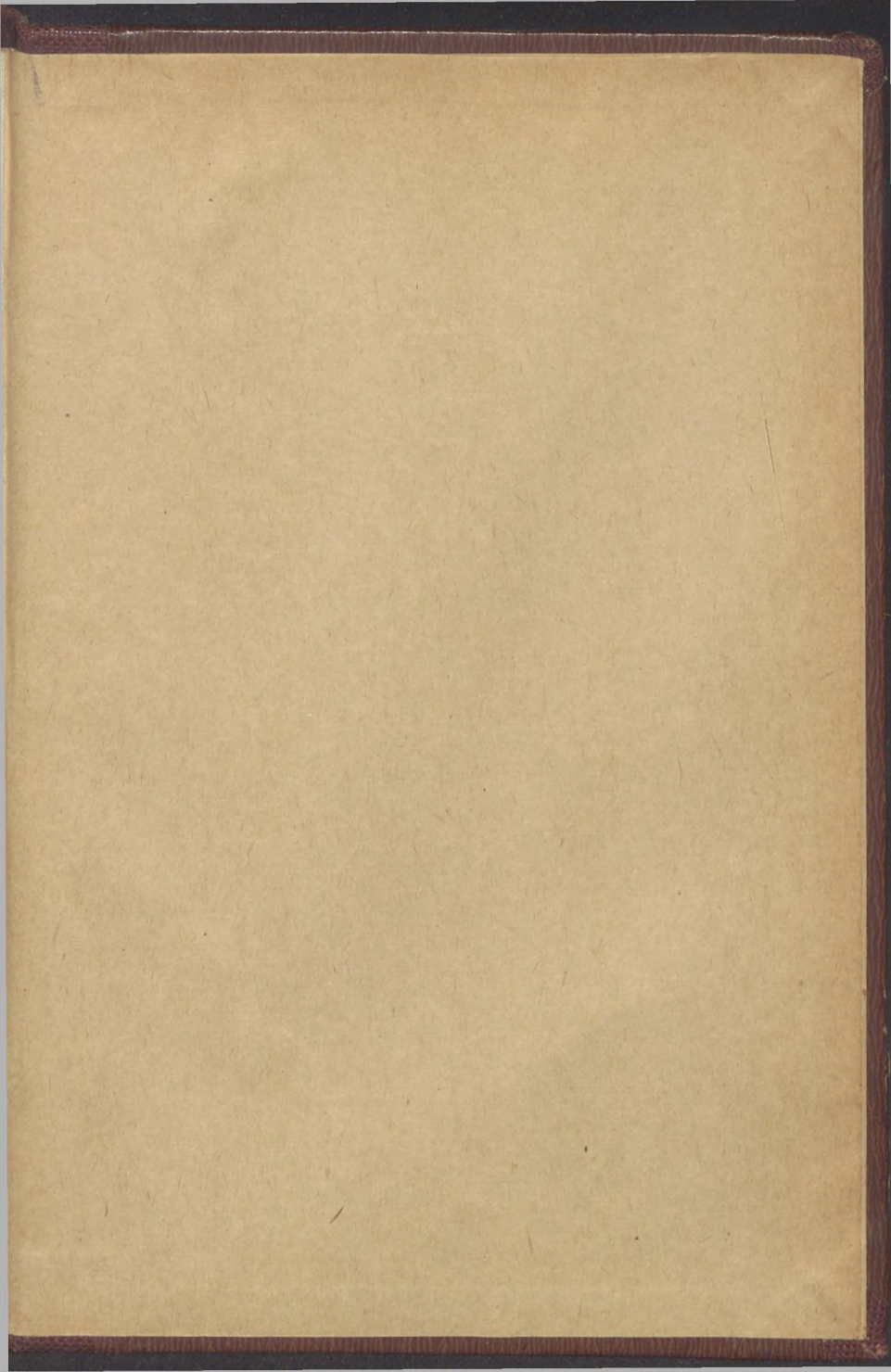
29 GRUN 1933

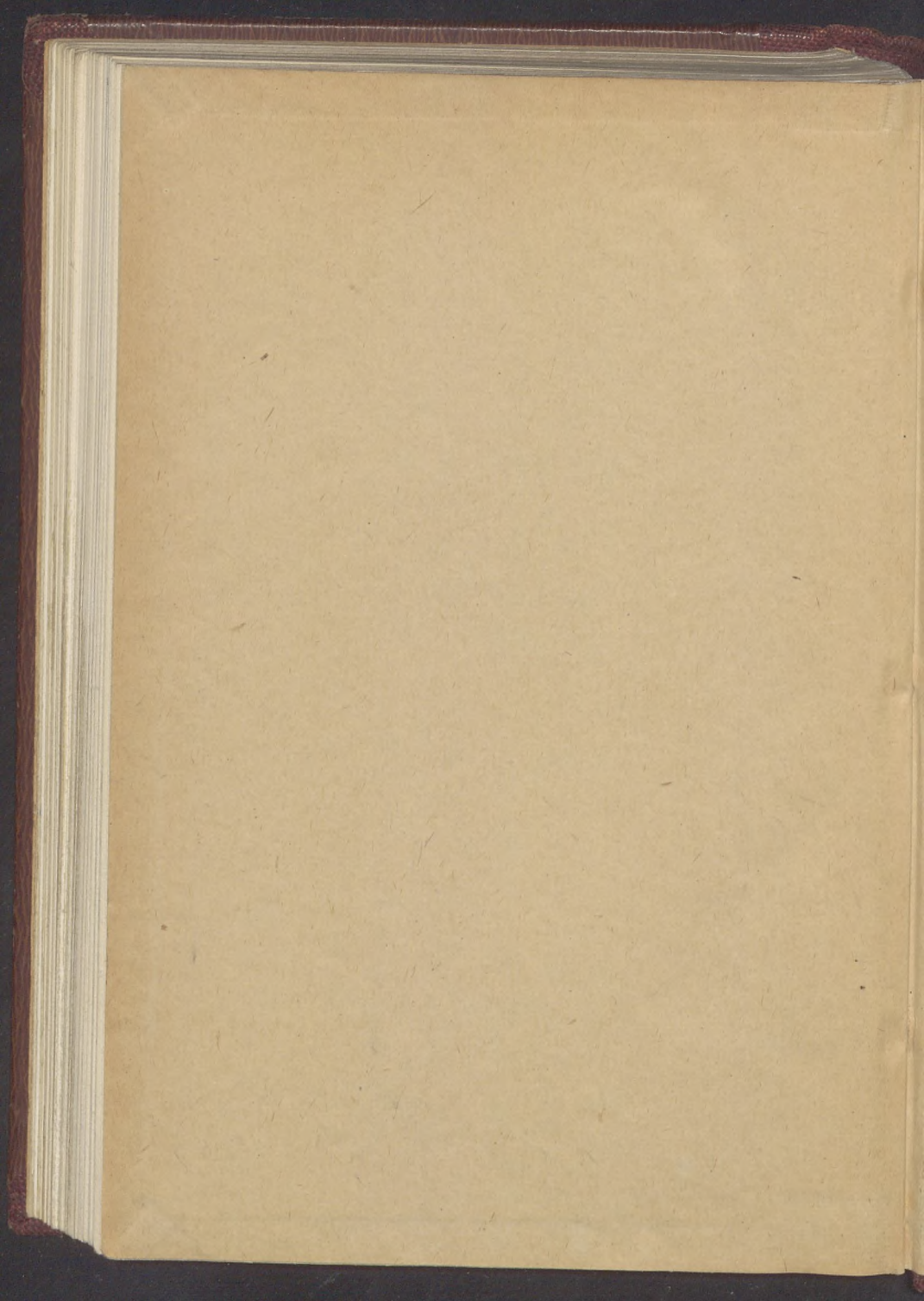
10657/1
8

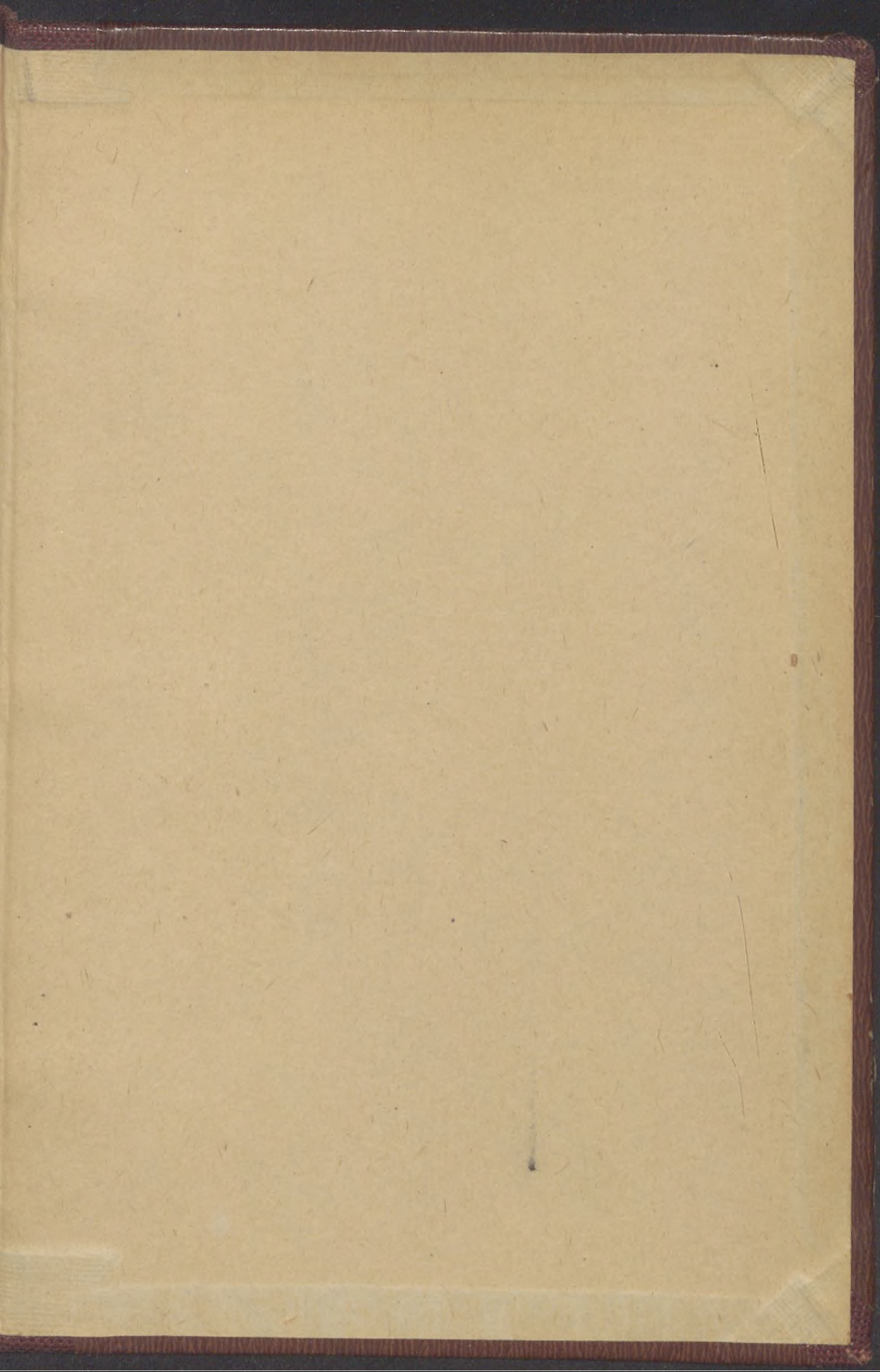


H

Z









BIBLIOTEKA
NARODOWA

544840 / 4

Biblioteka Narodowa
Warszawa



30001008721080